

LESSING DORIS

PIĄTE DZIECKO

Harriet i Dawid poznali się na przyjęciu firmowym, na które żadne z nich z początku nie chciało iść, ale w końcu oboje zrozumieli, że właśnie na to czekali. Konserwatywni, staroświeccy, żeby nie powiedzieć „wymierający gatunek”; płochliwi, wybredni: tak określali ich ludzie, ale nie było też końca pejoratywnym przymiotnikom, jakie Harriet i Dawid sobie zaskarbiali. Bronili uporczywie hołubionej opinii na swój temat, takiej mianowicie, że byli zwyczajni i że mieli do tego prawo, nie powinno się ich krytykować za uczuciową pedanterię, wstrzemięźliwość, tylko dlatego, że były to niemodne cechy.

Na tym słynnym przyjęciu firmowym około dwustu osób stłoczyło się w długim, bogato zdobionym, poważnym pomieszczeniu, które przez trzysta trzydzieści cztery dni w roku pełniło funkcję sali posiedzeń. Trzy stowarzyszone firmy budowlane zorganizowały przyjęcie na koniec roku. Panował hałas. Dudniący rytm małego zespołu muzycznego wstrząsał ścianami i podłogą. Prawie wszyscy goście tańczyli, stłoczeni z powodu braku przestrzeni; pary podskakiwały albo wirowały w miejscu jak na niewidzialnych talerzach gramofonów. Kobiety były elegancko ubrane, dramatyczne, dziwaczne, barwne: „Spójrz na mnie! Spójrz na mnie!”. Niektórzy mężczyźni domagali się nie mniejszej uwagi. Pod ścianami stali nietańczący goście - wśród nich, oddzielnie, Harriet i Dawid, z kieliszkami w dłoniach, obserwatorzy. Obojgu przyszło na myśl, że twarze tańczących, zwłaszcza kobiet, ale także mężczyzn, mogły być równie dobrze wykrzywione krzykiem i grymasami bólu, jak radością. W całej scenie była jakaś wymuszona gorączkowość... jednak Harriet i Dawid nie spodziewali się dzielić z nikim ani tymi, ani wieloma innymi myślami.

Widziana z drugiej strony sali - o ile ktokolwiek wyłowił ją wzrokiem spośród tylu domagających się uwagi osób - Harriet jawiła się jako pastelowa plama. Jak na obrazie impresjonistycznym czy trickowej fotografii, sprawiała wrażenie dziewczyny stopionej z otoczeniem. W sukience w kwiaty, stała obok wielkiego wazonu z suchymi trawami i liśćmi. Zogniskowane na niej oko dostrzegało w następnej kolejności kręcone ciemne, niemodnie uczesane włosy... niebieskie oczy, łagodne, lecz myślące... nieco zbyt mocno zaciśnięte wargi. Harriet miała wyraziste, regularne rysy twarzy i silną budowę ciała. Zdrowa młoda kobieta, ale może swobodniej czuła się w ogrodzie?

Dawid stał od godziny w tym samym miejscu, pijąc roztropnie, a jego poważne szaroniebieskie oczy zatrzymywały się to na tej osobie, to na tamtej parze, obserwowały, jak ludzie łączą się i rozłączają, odbijając się od siebie. Harriet nie wydał się mocno zakorzeniony:

zdawał się niemal szybować, balansując stopami. Drobnym młodym człowiekiem - wyglądał młodo jak na swój wiek - miał okrągłą, szczerą twarz i miękkie kasztanowe włosy, które dziewczęta pragnęły przeczesać palcami, ale powstrzymywało je zamyślane spojrzenie Dawida. Krępował je. Na Harriet nie wywierał jednak takiego wrażenia. Wiedziała, że jego spojrzenie wyrażające czujną odrębność odzwierciedla jej własną minę. Uznała, że żartobliwa poza Dawida to efekt wysiłku. On czynił w myślach podobne komentarze na jej temat: najwyraźniej, podobnie jak on, nie lubiła takich imprez. Oboje dowiedzieli się, kim jest to drugie.

Harriet pracowała w dziale sprzedaży firmy, która projektowała i dostarczała materiały budowlane; Dawid był architektem.

Co takiego uczyniło z tych dwojga dziwaków i odmieńców? Ich stosunek do seksu! Były lata sześćdziesiąte! Dawid miał za sobą długi, trudny romans z dziewczyną, w której niechętnie się kochał: była dokładnie tym, czego nie chciał w dziewczynie. Żartowali na temat przyciągania się przeciwności. Ona żartowała, że Dawid myśli o jej reformowaniu: „Chyba naprawdę wyobrażasz sobie, że cofniesz czas, zaczynając ode mnie!”. Po dość nieszczęśliwym rozstaniu dziewczyna spała - tak sądził Dawid - ze wszystkimi z Sissons Blend & Co. Nie zdziwiłby się, gdyby sypiała także z dziewczynami. Dzisiaj bawiła się na przyjęciu, w szkarłatnej sukience z czarną koronką, stanowiącej zmyślną trawestację sukni flamenco. Z tego melanżu zaskakująco wyłaniała się głowa. Całość przywoływała lata dwudzieste dwudziestego wieku, ponieważ jej czarne włosy były wystrzyżone w klin na karczku, dwa lśniące klipy nad uszami i lok na czole. Machała do Dawida i słała mu gorączkowe pocałunki z przeciwległego końca sali, gdzie wirowała z partnerem, a Dawid uśmiechał się po koleżeńsku: bez urazy. Jeśli idzie o Harriet, to była dziewicą. Jeszcze dziewicą”, piszczały jej przyjaciółki, „odbiło ci?”. Harriet nie myślała o dziewictwie jako o stanie fizjologicznym, którego należało bronić, ale raczej jak o prezencie zapakowanym w warstwy cudnego papieru, który miał zostać dyskretnie wręczony odpowiedniej osobie. Rodzone siostry śmiały się z Harriet. Dziewczyny z pracy udawały rozbawienie, kiedy twierdziła stanowczo: „Przykro mi, ale nie lubię całego tego sypiania z kim popadnie, to nie dla mnie”. Wiedziała, że rozmawiano o niej z zainteresowaniem, zazwyczaj nieprzychylnie. Z tą samą zimną pogardą, z którą dobre kobiety z pokolenia jej babki mówiły: „Wiedzie, ona jest całkiem niemoralna”, albo: „Ona nie ma żadnych zasad”; potem (w pokoleniu matki Harriet): „Ona ma fioła na punkcie mężczyzn”, albo: „Ona jest nimfomanką” - z tą samą pogardą dzisiejsze oświecone dziewczyny mówiły między sobą: „Ona musi być taka z powodu czegoś, co

przydarzyło się jej w dzieciństwie. Biedactwo”.

I rzeczywiście, czasami Harriet czuła, że jest w pewnym sensie nieszczęśliwa lub ułomna, ponieważ mężczyźni, z którymi wybierała się do restauracji albo do kina, odbierali jej odmowę jako dowód patologicznych poglądów i małostkowości. Przez pewien czas spotykała się z przyjaciółką, młodszą niż inne, potem jednak dziewczyna stała się „taka sama jak wszystkie”, wedle określenia Harriet, która jednocześnie uznała samą siebie za osobę nieprzystosowaną. Wieczory często spędzała samotnie, w weekendy jeździła do matki. Ta mówiła:

- Cóż, jesteś staroświecka, to wszystko. Wiele dziewcząt chciałoby być takimi, gdyby tylko miały szansę.

Harriet i Dawid, tych dwoje ekscentryków, w tej samej chwili oderwali się, każde od swego kąta. Ten fakt miał nabrać znaczenia, kiedy słynne przyjęcie firmowe stało się częścią ich wspólnej historii. „Tak, dokładnie w tym samym czasie...”. Musieli przecisnąć się przez tłum, który zdążył się stłoczyć pod ścianami; kieliszki trzymali wysoko nad głowami, poza zasięgiem tańczących. W końcu zbliżyli się do siebie, z uśmiechem, choć może odrobinę niespokojnie, Dawid wziął Harriet za rękę, przecisnęli się do sąsiedniej sali z bufetem i tłumem hałaśliwych gości, stamtąd wydostali się na korytarz, gdzie tam i ówdzie stały objęte pary, wreszcie pchnęli pierwsze drzwi, które ustąpiły. Były to drzwi gabinetu wyposażonego w biurko, twarde krzesła i sofę. Cisza... no, może prawie. Westchnęli. Odstawili kieliszki. Usiedli naprzeciwko siebie, żeby mogli patrzeć do woli, po czym zaczęli rozmawiać. Rozmawiali tak, jakby dotychczas im tego wzbraniano, jak ludzie zlaknieni mówienia. Siedzieli tak, blisko siebie, pogrążeni w rozmowie, aż hałas w salach po drugiej stronie korytarza zaczął słabnąć, wtedy cicho wyszli i poszli do jego mieszkania nieopodal. Tam położyli się na łóżku, trzymając się za ręce, rozmawiali, co pewien czas całowali się, potem zasnęli. Prawie natychmiast wprowadziła się do niego, bo stać ją było tylko na pokój w dużym mieszkaniu. Postanowili się pobrać na wiosnę. Po co czekać? Byli dla siebie stworzeni.

Harriet była najstarszą z trzech siostr. Dopiero po opuszczeniu domu w wieku lat osiemnastu odkryła, jak dużo zawdzięcza dzieciństwu. Wielu jej przyjaciół, dzieci rozwiedzionych rodziców, wiodło przypadkowe, chaotyczne życie i było, jak to się określa, „zaburzonych”. Harriet nie była „zaburzona”; zawsze wiedziała, czego chce. W szkole radziła sobie dobrze, a po ukończeniu akademii sztuk pięknych została projektantką, co wydawało się przyjemnym sposobem spędzania czasu, aż do zamążpójścia. Pytanie, czy poświęcić się karierze,

czy też nie, nigdy nie zaprzętało jej uwagi, chociaż była gotowa na ten temat rozmawiać: nie lubiła uchodzić za bardziej ekscentryczną, niż w istocie była. Matka Harriet, kobieta zadowolona, posiadała wszystko, czego tylko mogła zapragnąć: tak wydawało się jej i córkom. Rodzice Harriet uznali za pewnik, że podstawą szczęśliwego życia jest życie rodzinne.

Pochodzenie Dawida było zupełnie inne. Rodzice rozwiedli się, kiedy miał siedem lat. Żartował, o wiele za często, że posiada dwa zestawy rodziców: należał do dzieci, które mają pokój w dwóch domach. Nie było nikczemności ani złości, choć mnóstwo niewygody, nawet nieszczęścia - mowa, rzecz jasna, o dzieciach. Drugi mąż jego matki, ojczym Dawida, był wykładowcą akademickim, historykiem, mieszkającym w dużym, nędznym domu w Oksfordzie. Dawid lubił tego człowieka, Fryderyka Burke'a, miłego, choć odległego, podobnego do matki Dawida, kobiety miłej i odległej. Pokój w tym domu był dawniej domem Dawida - w jego wyobraźni był nim nadal, chociaż wkrótce, razem z Harriet, stworzy nowy, stanowiący przedłużenie i wzmocnienie tamtego. Oksfordzki dom Dawida był przestronną sypialnią na tyłach, wychodzącą na zapuszczony ogród; nędzny pokój, pełen dzieciństwa i, na angielską modłę, dość chłodny. Jego ojciec ożenił się z kobietą podobną do siebie: głośną, miłą, praktyczną, o cynicznym poczuciu humoru ludzi bogatych. James Lovatt był skutnikiem; kiedy Dawid zgadzał się go odwiedzić, mógł zostać zakwaterowany równie dobrze na koi na jachcie, jak w pokoju („To jest twój pokój, Dawidzie!”) w willi na południu Francji czy Indiach Zachodnich. Mimo to wolał swój stary pokój w Oksfordzie. Dorastał pełen żarliwych wymagań wobec własnej przyszłości: jego dzieci będą miały inne życie. Wiedział, czego chce i jakiej kobiety potrzebuje. O ile Harriet widziała swoją przyszłość na starą modłę: mężczyzna wręczy jej klucze do królestwa, gdzie Harriet znajdzie wszystko, czego jej natura domagała się jako przyrodzonego prawa, ku któremu - początkowo bezwiednie, ale później bardzo zdecydowanie - dążyła, omijając wszelkie grzęzawiska i dramaty, o tyle Dawid postrzegał własną przyszłość jako coś, ku czemu musi dążyć i co musi chronić. Jego żona powinna być w tym do niego podobna: powinna wiedzieć, gdzie leży szczęście i jak je zatrzymać. Kiedy poznał Harriet, miał trzydzieści lat i, jako człowiek ambitny, pracował w zawzięcie zdyscyplinowany sposób. Celem jego pracy był jednak dom.

W Londynie nie udało im się znaleźć takiego domu, jakiego pragnęli, gdzie mogliby żyć tak, jak pragnęli. Zresztą nie mieli pewności, czy musi to być właśnie Londyn - nie, woleliby mniejsze miasteczko z własną atmosferą. W weekendy przeczesywali podlondyńskie

miejscowości i wkrótce znaleźli duży dom w stylu wiktoriańskim w zarośniętym ogrodzie. Idealny! Jednak dla młodej pary był absurdalnie duży: trzy piętra, strych, mnóstwo pokoi, korytarze, półpiętra... Masa miejsca dla dzieci.

Ale oni zamierzali mieć dużo dzieci. Oboje nieco wyzywająco, z uwagi na wielkie oczekiwania wobec przyszłości, oznajmili, że „nie mieliby nic przeciwko” dużej liczbie dzieci.

- Nawet czworo czy pięcioro...

- Albo sześcioro - powiedział Dawid.

- Albo sześcioro! - powtórzyła Harriet i z uczuciem ulgi roześmiała się do łez. Śmiali się, tarzali na łóżku, całowali się w euforii, ponieważ okazało się, że ten dom, gdzie oboje spodziewali się, a nawet byli gotowi pogodzić się z odmową lub kompromisem, wcale nie przedstawia zagrożenia. Harriet mogła powiedzieć do Dawida, a Dawid do Harriet: „Co najmniej sześcioro dzieci”, ale nie mogli tego powiedzieć nikomu innemu. Nawet gdyby Dawid i Harriet zarabiali całkiem przyzwoicie, hipoteka za ten dom przekraczałyby ich możliwości. Ale jakoś dadzą sobie radę. Ona będzie pracować przez dwa lata, codziennie dojeżdżać z Dawidem do Londynu, a potem...

Tego popołudnia, gdy kupili dom, stanęli na małej werandzie, trzymając się za ręce, ptaki śpiewały w ogrodzie, indzie gałęzie wciąż były czarne i lśniące od zimnego wczesnowiosennego deszczu. Z sercami łomoczącymi ze szczęścia otworzyli drzwi wejściowe i stanęli w bardzo dużym pomieszczeniu naprzeciwko przestronnych schodów. Poprzedni właściciel miał taką samą wizję domu jak oni. Ściany wyburzono, dzięki czemu pomieszczenie obejmowało prawie cały parter. Połowa przypadała na kuchnię, oddzieloną od reszty zaledwie niską ścianą, na której ustawi się książki; w drugiej połowie było mnóstwo miejsca na kanapy, krzesła - całą wygodę pokoju dziennego. Delikatnie, łagodnie, prawie nie oddychając, z uśmiechem, wpatrzeni w siebie, uśmiechając się jeszcze bardziej, bo oboje mieli łzy w oczach, przeszli po nagich deskach, które wkrótce przykryją chodniki, potem powoli po schodach, gdzie staroświeckie mosiężne pręty czekały na dywan. Na półpiętrze odwrócili się, żeby w zachwyceniu ogarnąć wzrokiem wielki pokój, który miał się stać sercem ich królestwa. Ruszyli dalej na górę. Na pierwszym piętrze znajdowała się duża sypialnia - ich sypialnia, z którą sąsiadował pokój dla każdego kolejnego noworodka. Na tym samym piętrze były jeszcze cztery przyzwoite pokoje. Dalej w górę, po ciągle solidnych, choć węższych schodach, i oto cztery kolejne pokoje, których okna, jak okna pokoi poniżej, wychodziły na drzewa, ogrody, trawniki - typową perspektywę przyjemnych

przedmieść. Nad tym piętnem znajdował się wielki strych, w sam raz dla dzieci, kiedy osiągną wiek sekretnych magicznych zabaw.

Powoli zeszli po schodach, mijając pokoje, które wyobrażali sobie pełne dzieci, krewnych, gości, i ponownie weszli do sypialni. Zostawiono w niej duże łóżko, wykonane na zamówienie dla małżeństwa, od którego Dawid i Harriet kupili dom. Agent powiedział, że zabranie łóżka wiązałoby się z jego demontażem, zresztą właściciele łóżka przeprowadzali się za granicę. Harriet i Dawid położyli się obok siebie i popatrzyli na pokój. Milczeli, przestraszeni tym, na co się porywali. Zdawało się, że cienie rzucane przez krzew bzu, spoza którego przeświecało wilgotne słońce, kusząco kreślą na suficie lata, jakie mieli spędzić w tym domu. Spoglądali za okno, gdzie na szczycie bzu widniały bujne pączki, gotowe do rozkwitu. Potem spojrzeli po sobie. Łzy popłynęły im po policzkach. Tam, na własnym łóżku, zaczęli się kochać. Harriet o mały włos nie krzyknęła: „Nie, przestań! Co robisz?”. Czy nie postanowili nie decydować się na dzieci przez dwa lata? Ale Harriet obezwładniło jego zdecydowanie - tak, to było to, kochał się z rozmyślną, skupioną intensywnością, patrząc jej w oczy, właśnie to sprawiło, że go przyjął, fakt, że wziął w posiadanie jej przyszłość. Harriet nie miała przy sobie prezerwatyw. (Oczywiście ani ona, ani Dawid nie ufali pigułkom.) Harriet była w szczytowym cyklu płodności. Mimo to kochali się solennie i wolno. Jeden raz. Drugi. Później, kiedy pokój pograżył się w mroku, kochali się po raz trzeci.

- Cóż - powiedziała Harriet cicho, ponieważ bała się i nie chciała dać tego po sobie poznać. - Cóż, jestem pewna, że to załatwiło sprawę.

Dawid wybuchnął śmiechem. Głośnym, beztroskim, I rozbawionym skrupułów śmiechem, całkiem niepasującym do skromnego, roztropnego Dawida. Pokój pograżył się w mroku; przypominał ogromną, czarną, bezkresną jaskinię. (Gdzieś blisko konar szorował o ścianę domu. Pachniało zimną, przesiąkniętą deszczem ziemią i seksem. Dawid leżał, uśmiechając się do siebie, a kiedy poczuł na sobie wzrok Harriet, odwrócił nieznacznie głowę i ogarnął ją swoim uśmiechem. Jednak na jego warunkach; oczy Dawida błyszczały od myśli, których nie mogła odgadnąć. Czują, że go nie zna...

- Dawidzie - powiedziała pospiesznie, żeby przerwać czar, ale on objął ją i ścisnął za ramię z taką siłą, o jaką go nie podejrzewała. Uścisk mówił: „Bądź cicho”.

Leżeli tak, aż zwyczajność powoli wróciła; mogli obrócić się ku sobie i całować drobnymi, dodającymi otuchy dziennymi pocałunkami. Wstali i ubrali się w zimnym mroku:

elektryczności jeszcze nie podłączono. Cicho zeszli po schodach domu, który tak mocno wzięli w posiadanie, minęli wielki pokój dzienny i wyszli do tajemniczego, ukrytego przed nimi ogrodu, niebędącego jeszcze ich własnością.

- No, więc? - powiedziała żartobliwie Harriet, kiedy wsiedli do samochodu Dawida, żeby wrócić do Londynu. - Jak za to wszystko zapłacimy, jeżeli jestem w ciąży?

Rzeczywiście: jak? Harriet, istotnie, zaszła w ciążę w tamten deszczowy wieczór w sypialni. Nadeszły złe chwile, kiedy myśleli o szczupłości swoich zasobów i własnej słabości. W takich momentach, gdy brakuje środków finansowych, czujemy się tak, jakby nas sądzono: Harriet i Dawid wydali się sobie wąтли i niewystarczający; trzymali się tylko uparcie hołubionych przekonań, które inni ludzie zawsze uważali za błędne.

Dawid nigdy nie brał pieniędzy od swego zamożnego ojca i macochy, którzy opłacili jego wykształcenie, ale na tym koniec. (Opłacili też wykształcenie jego siostry Debory; ona jednak wolała styl życia ojca, tak jak Dawid wolał styl życia matki, dlatego spotykali się rzadko, a w mniemaniu Dawida różnice między rodzeństwem sprowadzały się właśnie do tego, że siostra wybrała życie bogaczy.) Nie chciał teraz prosić o pieniądze. Jego angielscy rodzice - tak myślał o matce i jej mężu - pozbawieni ambicji pracownicy akademicki, nie byli zamożni.

Pewnego popołudnia ta czwórka - Dawid i Harriet, matka Dawida Molly i Fryderyk - stanęli w pokoju dziennym przy schodach i ogarnęli wzrokiem nowe królestwo. W końcu kuchennym stał już bardzo duży stół, zdolny bez trudu pomieścić piętnaście czy dwadzieścia osób; prócz tego parę przestronnych sof i kilka wygodnych foteli kupionych na miejscowej aukcji. Stojący ramię w ramię Dawid i Harriet czuli się niedorzecznie ekscentryczni i o wiele za młodzi w konfrontacji z dwojgiem starszych ludzi, którzy ich osądzali. Molly i Fryderyk byli rośli, niechlujni, z szopami siwych włosów, w wygodnych ubraniach, które z zadowoleniem gardziły modą. Przypominali dobroduszne stogi siana, ale nie patrzyli na siebie, a Dawid dobrze wiedział, co to oznacza.

- No, dobrze - powiedział jowialnie, nie mogąc dłużej znieść napięcia - możecie to powiedzieć. - Objął Harriet, bladą i spiętą z powodu porannych mdłości, a także dlatego, że miała za sobą tydzień szorowania podłóg i mycia okien.

- Czy zamierzacie prowadzić hotel? - spytał Fryderyk, który postanowił nie wygłaszać sądów.

- Ile zamierzacie mieć dzieci? - zapytała Molly, wybuchając urywanym śmiechem, który

oznacza, że żadne protesty nie mają sensu.

- Dużo - odparł cicho Dawid.

- Tak - potwierdziła Harriet. - Tak. - W przeciwieństwie do Dawida nie zdawała sobie sprawy z tego, jak poirytowani są rodzice. Jak wszyscy im podobni, pragnęli uchodzić za uosobienie nonkonformizmu, a w istocie byli konwencjonalni do szpiku kości i nie lubili żadnych przejawów ducha przesady, nadmiaru. A ten dom był właśnie tym.

- Chodźcie, postawimy wam obiad, jeżeli mają tu przyzwoity hotel - powiedziała matka Dawida.

Przy posiłku rozmawiano o innych sprawach, aż wreszcie, przy kawie, Molly zauważyła:

- Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiał zwrócić się do ojca o pomoc?

Dawid skrzywił się boleśnie, ale musiał spojrzeć prawdzie w oczy: liczył się tylko ten dom i życie, które mieli w nim prowadzić. Życie, które - rodzice poznali to po malującym się na jego twarzy wyrazie determinacji, ich zdaniem pełnym typowego dla młodości samozadowolenia - anuluje, rozgrzeszy, wymaże wszystkie braki ich życia, życia Molly i Fryderyka, a także życia Jamesa i Jessiki.

Kiedy zegnali się na ciemnym parkingu, Fryderyk powiedział:

- Według mnie oboje jesteście zdrowo szurnięci. A przynajmniej uparci.

- Tak - dodała Molly. - Tak naprawdę, nie przemyśleliście tego. Dzieci... nikt, kto ich nie ma, nie wie, ile pracy wymagają.

Dawid roześmiał się i użył dawnego argumentu, który Molly rozpoznała i powitała afektowanym śmiechem.

- Ty nie jesteś macierzyńska - powiedział Dawid. - To nie leży w twojej naturze. Ale Harriet jest.

- Doskonale - odparła Molly. - To wasze życie. Zadzwoiła do Jamesa, swego pierwszego męża, który pływał na jachcie w okolicach wyspy Wight. Rozmowa zakończyła się słowami:

- Myślę, że powinieneś przyjechać i zobaczyć na własne oczy.

- Świetnie, zrobię to - odpowiedział James, zgadzając się zarówno na to, co zostało, jak i na to, co nie zostało wypowiedziane: trudność w nadażeniu za niewerbalnymi komunikatami żony była głównym powodem, dla którego z radością od niej odszedł.

Wkrótce po tej rozmowie Dawid i Harriet ponownie stanęli z rodzicami Dawida - z drugą parą - by kontemplować dom. Tym razem znajdowali się na dworze. Jessica stała na trawniku,

wciąż pokrytym drzewnymi odpadkami po zimie i wietrznej wiosnie, przyglądając się domowi krytycznie. Wydał jej się ponury i obmierzły, jak Anglia. Rówieśnica Molly, wyglądała dwadzieścia lat młodziej; szczupła i śniada, zdawała się lśnić olejkami do opalania, nawet gdy nie była nim nasmarowana. Miała płowe, krótkie, błyszczące włosy i ubranie w jasnych kolorach. Obcasy jadeitowych butów wbiła w trawnik i spojrzała na męża, Jamesa.

James zdążył już zrobić obchód domu, a teraz, zgodnie z oczekiwaniem Dawida, powiedział:

- To dobra inwestycja.

- Tak - odparł Dawid.

- Cena nie jest wygórowana, dlatego, jak sądzę, że dom jest za duży dla większości ludzi.

Rozumiem, że sprawozdanie rzeczoznawcy było pozytywne?

- Tak - powtórzył Dawid.

W takim razie hipotekę biorę na siebie. Jak długo i», i Izie spłacana?

Trzydzieści lat - odpowiedział Dawid. - Przypuszczam, że do tej pory nie będzie mnie już wśród żywych. Cóż, nie dałem ci wiele w ramach prezentu ślubnego.

- To samo będziesz musiał zrobić dla Debory - zauważyła Jessica.

- Dla Debory już i tak zrobiliśmy znacznie więcej niż dla Dawida - odparł James. - Zresztą stać nas na to.

Jessica roześmiała się i wzruszyła ramionami: to były w znacznej mierze jej pieniądze. Właśnie ów swobodny stosunek do pieniędzy cechował życie ojca i jego żony, którego Dawid zakosztował i które gwałtownie odrzucił. Wolał oszczędność domu w Oksfordzie, chociaż nigdy nie wypowiedział na głos słowa „oszczędność”. Na pokaz i zbyt łatwe - takie było życie bogatych, ale teraz Dawid miał wobec niego zaciągnąć dług.

- Ile dzieci planujecie, jeśli wolno spytać? - zapytała Jessica, podobna do papugi, która przycupnęła na trawniku.

- Dużo - odparł Dawid.

- Dużo - powiedziała Harriet.

- W takim razie, raczej ciebie na to stać niż mnie stwierdziła Jessica, po czym druga para rodziców Dawida z ulgą opuściła ogród i Anglię.

Teraz na scenie pojawiła się Dorota, matka Harriet. Ani Harriet, ani Dawidowi nie przyszło do głowy, by pomyśleć lub powiedzieć: „Och, jakie to okropne, cały czas mieć na

głowie matkę”, bo skoro wybrali życie rodzinne, rozumiało się samo przez się, że Dorota powinna przyjechać na czas nieokreślony i pomagać Harriet, mimo zapewnień, że ma własne życie, do którego musi wrócić. Dorota była wdową, a jej życie polegało głównie na odwiedzaniu córek. Po sprzedaniu domu rodzinnego zamieszkała w małym, niezbyt ładnym mieszkaniu, ale się nie skarżyła. Kiedy uzmysłowiła sobie wielkość i potencjał drzemiące w nowym domu, przez kilka dni była bardziej milcząca niż zwykle. Wychowanie trzech córek nie przyszło jej łatwo. Mąż, chemik przemysłowy, nie był źle opłacany, a mimo to w domu nigdy się nie przelewało. Dorota знаła cenę, jaką pod każdym względem trzeba zapłacić za choćby niewielką rodzinę.

Pewnego wieczoru przy kolacji spróbowała poruszyć ten temat. Dawid, Harriet, Dorota. Dawid właśnie wrócił do domu spóźniony: pociąg się opóźnił. Dojazdy nie zapowiadały się zabawnie, miały być najgorszą stroną całego życia dla wszystkich, ale szczególnie, rzecz jasna, dla Dawida, któremu zajmowały prawie po dwie godziny rano i wieczorem. To miał być jego wkład w marzenie.

Kuchnia była już prawie tym, czym być powinna: wielki stół z ciężkimi drewnianymi krzesłami dokoła - na razie tylko czterema, ale więcej stało w szeregu pod ścianą, czekając na gości i nienarodzonych ludzi. Była tam też duża kuchenka i staroświecka szafka z kubkami i filiżankami na haczykach. W dzbanach stały kwiaty z ogrodu, gdzie lato rozwinęło obfitość róż i lilii. Jedli tradycyjny angielski pudding przygotowany przez Dorotę; na dworze jesień przejmowała władzę przy wtórze cichego szelestu liści o szyby i wycia wiatru. Ciepłe, grube zasłony były zaciągnięte.

- Wiecie, myślałam o was - powiedziała Dorota. Dawid odłożył łyżkę i słuchał, czego nigdy wcześniej by nie zrobił dla swojej niezyciowej matki i życiowego ojca. - Chyba nie musicie się do niczego spieszyć... nie, pozwólcie mi powiedzieć. Harriet ma dopiero dwadzieścia cztery lata, nawet nie dwadzieścia pięć. Ty, Dawidzie, masz dopiero trzydzieści. Zachowujecie się tak, jakbyście uważali, że jeśli nie chwycicie wszystkiego od razu, to wam się wymknie. Przysłuchując się wam, nabieram takiego przekonania.

Dawid i Harriet słuchali: spojrzeli po sobie i zmarszczyli brwi w zamyśleniu. Doroty, tej mocno zbudowanej, surowej, prostej kobiety o stanowczym sposobie bycia nic powinno się lekceważyć; oddawali należną jej sprawiedliwość.

- Ja tak właśnie czuję - powiedziała Harriet.

- Tak, kochanie, wiem. Wczoraj mówiłaś o tym, żeby natychmiast urodzić drugie dziecko.

Moim zdaniem będziesz tego żałować.

- Naprawdę wszystko może zostać odebrane - powiedział uparcie Dawid. Obydwie kobiety wiedziały, że wiadomości łomoczące z radia nie osłabiały pewności, która wypływała z głębi istoty Dawida. Złe wiadomości zewsząd: co prawda nie mogły się równać z tymi, jakie wkrótce miały zacząć napływać, ale i tak były dostatecznie groźne.

- Przemyślcie to - mówiła Dorota. - Naprawdę chciałabym, żebyście przemyśleli. Nie wiem dlaczego, ale czasem mnie przerażacie.

- Może powinniśmy się byli urodzić w innym kraju powiedziała Harriet gwałtownie. - Zdajesz sobie sprawę, że w innej części świata posiadanie sześciorga dzieci byłoby całkiem normalne, wcale nieszkokujące? Z takich ludzi nie robi się kryminalistów.

- To my, w Europie, jesteśmy nienormalni - dodał Dawid.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Dorota, nie mniej uparta niż oni. - Ale gdybyście mieli szóstkę, albo ósmioro czy dziesięcioro - nie, wiem, co myślisz, Harriet, przecież cię znam - i gdybyście mieszkali w innej części świata, na przykład w Egipcie, Indiach czy w podobnym miejscu - wtedy połowa dzieci by umarła, poza tym nie otrzymałyby wykształcenia. Wy chcecie jednego i drugiego. Arystokraci, owszem, oni mogą rozmnażać się jak króliki, tego się też spodziewają, ale mają na to pieniądze. Biedacy mogą mieć dzieci, z których połowa umiera, ale oni tego się spodziewają. Jednak ludzie jak my, pośrodku, muszą przywiązywać wagę do tego, ile mają dzieci, żeby móc się o nie troszczyć. Mam wrażenie, że nie przemyśleliście wszystkiego... nie, pójdę i zaparzę kawę, a wy usiądźcie sobie.

Dawid i Harriet przeszli przez szeroką przerwę w ścianie odgradzającej kuchnię, trzymając się za ręce, usiedli na sofie w salonie - drobny, uparty, dość niespokojny młody człowiek oraz wielka, zarumieniona, nieporadnie poruszająca się kobieta. Harriet była w ósmym miesiącu niełatwej ciąży. Nie działo się nic poważnego, ale często ją mdliło, źle sypiała z powodu niestrawności i była rozczarowana sobą. Zastanawiali się, dlaczego ludzie nieustannie ich krytykują. Dorota przyniosła kawę, postawiła i powiedziała:

- Ja zmyję... nie, ty tu sobie siedź.

- Kiedy ja tak właśnie czuję - powiedziała Harriet z konsternacją.

- Tak.

- Powinniśmy mieć dzieci, póki możemy - ciągnęła Harriet.

Dorota powiedziała sponad zlewu:

- Na początku wojny ludzie mówili, że rodzenie dzieci świadczy o braku odpowiedzialności, ale mimo to je rodziliśmy. - Roześmiała się.

- Sama więc widzisz - powiedział Dawid.

- I utrzymywaliśmy je - dodała Dorota.

- Cóż, z pewnością, w końcu jestem tutaj - zauważyła Harriet.

Pierworodny, Łukasz, przyszedł na świat w dużym łóżku, przede wszystkim przy pomocy położnej, choć w porodzie uczestniczył też doktor Brett. Dawid i Dorota trzymali Harriet za rękę. Lekarz wołał oczywiście, żeby Harriet rodziła w szpitalu. Odmówiła stanowczo, co spotkało się z jego dezaprobatą.

Była wietrzna, mroźna noc tuż po Bożym Narodzeniu. W pokoju było cudownie ciepło. Dawid płakał. Dorota płakała. Harriet śmiała się i płakała. Położną i lekarza ogarnął nastrój świąteczny - triumfalny. Wszyscy uraczyli Kię szampanem i polali trochę alkoholu na główkę Łukasza. Był rok 1966.

Łukasz okazał się niekłopotliwym dzieckiem. Spał spokojnie w pokoiku obok dużej sypialni i z zadowoleniem ssał pierś. Szczęście! Rankiem Dawid wychodził na pociąg do Londynu, a Harriet karmiła dziecko w łóżku i piła herbatę przyniesioną przez Dawida. Kiedy pochylał się, żeby pocałować żonę na pożegnanie i pogłaskać synka po głowie, robił to z żarliwą zaborczością, którą Harriet lubiła i rozumiała, ponieważ obiektem tej zaborczości nie była ani ona, ani dziecko, ale szczęście. Szczęście I Harriet i Dawida.

Wielkanoc była pierwszym z przyjęć rodzinnych. Odpowiednio, choć pobieżnie umeblowane pokoje wypełniły się siostrami - Harriet, Sarą i Angelą - wraz z mężami i dziećmi. Dorota była w swoim żywiole, na krótko przyjechali też Molly i Fryderyk, którzy przyznali, że dobrze się bawią, ale życie rodzinne na tę skalę jest nie dla nich.

Znawcy angielskiego życia zdążyli już zdać sobie sprawę, że wedle tej potężnej, choć nigdzie niezarejestrowanej miary, którą jest angielski system klasowy, Harriet zajmowała niższą pozycję niż Dawid. Wystarczyło, by Lovattowie czy Burke'owie spotkali Walkerów, a w ciągu pięciu sekund ów fakt zostawał dostrzeżony, choć nieskomentowany - w każdym razie nie werbalnie. Walkerowie nie zdziwili się, kiedy Fryderyk i Molly oznajmili, że przyjechali tylko na dwa dni; bynajmniej nie zmienili zdania po przyjeździe Jamesa Lovatta. Podobnie jak wielu małżonków zmuszonych do rozstania się z powodu różnicy charakterów, Molly i James lubili się spotykać, jeśli wiedzieli, że wkrótce się rozjadą. Zresztą wszyscy dobrze się bawili i przyznawali,

że dom jest do tego stworzony. Przy wielkim stole rodzinnym, gdzie można było dostawić mnóstwo krzesel, ludzie siedzieli przy długich, miłych posiłkach, albo między posiłkami podchodzili do stołu, żeby pić kawę, herbatę i rozmawiać. I śmiać się... Wsłuchani w śmiechy, glosy, rozmowy, hałasy bawiących się dzieci, Dawid i Harriet brali się za ręce w sypialni, albo na schodach, uśmiechali się i oddychali szczęściem. Nikt, nawet Dorota, nie wiedział, że Harriet znowu jest w ciąży. Nie planowali tego, na pewno nie przed upływem roku, ale tak wyszło. „Przysięgam, że w tym pokoju jest coś rozrodczego”, śmiał się Dawid. Oboje czuli się przyjemnie winni. Leżeli w łóżku, wsłuchani w kwilenie maleńkiego Łukasza za drzwiami, i postanowili nie odzywać się, dopóki wszyscy sobie nie pójdą.

Kiedy powiadomili Dorotę, ta znowu zamilkła.

- Cóż, będziecie mnie potrzebować, prawda? - powiedziała w końcu.

Rzeczywiście jej potrzebowali. Ta ciąża, podobnie jak poprzednia, przebiegała normalnie, ale Harriet czuła się nieswojo, mdliło ją i pomyślała, że co prawda nie zmieniła zdania w kwestii sześciorga (albo ośmiorga czy dziesięciorga) dzieci, ale dopilnuje, żeby między tym dzieckiem a następnym upłynęło sporo czasu.

Przez resztę roku Dorota krzątała się po domu, pomagała w opiece nad Łukaszem i w szyciu zasłon na trzecim piętrze.

W Boże Narodzenie Harriet, w ósmym miesiącu, znowu była ogromna. Śmiała się ze swoich rozmiarów i swojej nieporadności. Dom wypełnił się ludźmi. Wszyscy, którzy byli tu na Wielkanoc, zjechali ponownie. Panowało powszechne przekonanie, że Harriet i Dawid mają dryg do tego rodzaju spędów. Przyjechała też kuzynka Harriet z trójką dzieci, bo słyszała o wspaniałym przyjęciu wielkanocnym, które trwało tydzień. Zjawił się kolega Dawida z żoną. Boże Narodzenie trwało dziesięć dni, a święta i ustępowały jedne po drugich. Łukasz leżał na dole w wózku, wszyscy się nim zachwycali, a starsze dzieci nosiły jak lalkę. Przelotnie pojawiła się nawet siostra Dawida, Debora” atrakcyjna dziewczyna z klasą, która bardziej wyglądała na córkę Jessiki niż Molly. Nie była mężatką, i chociaż, jak sama to określała, kilka razy „prawie trafiła”, laka bardzo różniła się stylem od ludzi w tym domu, „rdzennie angielskich” - jak określali siebie w porównaniu z nią - że stało się to tematem obiegowych żartów. Debora zawsze prowadziła życie ludzi zamożnych, obskurna wspaniałość domu matki ją drażniła, nie cierpiała tłoku, ale przyznawała, że przyjęcie było interesujące.

Było dwanaścioro dorosłych i dziesięciorgo dzieci. Zaproszeni sąsiedzi pojawili się, ale

silne poczucie więzi u nizinnej gospodarzy stawiało ich poza nawiasem. Harriet i Dawid radowali się, że ich upór, krytykowany i wyśmiewany przez wszystkich, dokonał cudu: zdołali zjednoczyć tych wszystkich, jakże różnych ludzi, i sprawić, by dobrze się bawili.

Drugie dziecko, Helena, przyszło na świat tak jak Łukasz, w rodzinnym łóżku, w obecności tych samych osób; i tym razem namaszczone główkę noworodka szampanem, wszyscy płakali. Łukasza eksmitowano z dziecięcego pokoju do następnego w głębi korytarza, a jego miejsce zajęła Helena.

Mimo że Harriet była zmęczona - właściwie wykończona przyjęcie wielkanocne się odbyło. Dorota się temu sprzeciwiała.

- Jesteś zmęczona, dziecko - powiedziała. - Jesteś skonana. - Ale na widok wyrazu twarzy Harriet dodała:

No, dobrze, ale pamiętaj, że nie wolno ci nic robić.

Dwie siostry i Dorota wzięły na siebie ciężką pracę, czyli zakupy i gotowanie.

Na dole, wśród ludzi - ponieważ dom znowu był pełen, znajdowały się dwie istotki, Helena i Łukasz, z jasnymi włoskami, niebieskimi oczami i różowymi policzkami. Łukasz wędrował po domu, zataczając się, wspomagany przez wszystkich, Helena leżała w wózku.

Latem - był rok 1968 - dom wypełnił się po strych; rodzina stawiała się prawie w komplecie. Dom był niezwykle wygodny, jeśli chodzi o połączenie z Londynem: ludzie jeździli rano z Dawidem i wracali razem z nim. Dwadzieścia minut drogi samochodem od domu znajdowały się świetne trasy spacerowe.

Ludzie przyjeżdżali i wyjeżdżali, mówili, że przyjeżdżają na parę dni, a zostawali tydzień. Jak za to wszystko płacono? Cóż, każdy się dorzucił, oczywiście niewystarczająco, ale ludzie wiedzieli, że ojciec Dawida jest zamożny. Bez spłaconej hipoteki wszystko to nie byłoby możliwe. Pieniądzy stale brakowało. Wprowadzono oszczędności: kupiono używaną zamrażarkę rozmiarów hotelowej, którą wypełniono owocami i warzywami. Dorota, Sara i Angela robiły przetwory owocowe, dzemy i sosy chutney.

Był też jednak cień. Sara i jej mąż, William, nie byli szczęśliwym małżeństwem, kłócili się, godzili, ale ona po raz czwarty zaszła w ciążę, więc rozwód nie wchodził w grę.

Boże Narodzenie, równie cudowne święto, nadeszło i minęło. Potem Wielkanoc... czasem się zastanawiali, gdzie wszystkim udaje się pomieścić.

Cień na szczęściu rodzinnym, czyli niesnaski między Sarą i Williamem, znikł, wchłonięty

przez coś gorszego. Dziecko Sary urodziło się z zespołem Downa i o separacji nie mogło być mowy. Dorota żałowała czasem, że nie może się rozdwoić; Sara potrzebowała jej nie mniej, a nawet bardziej niż Harriet. I rzeczywiście jeździła do swojej Sary, ponieważ to Sarę dotknęło nieszczęście, nie Harriet.

Janeczka urodziła się w 1970 roku, kiedy Helena miała dwa lata. O wiele za szybko, besztala Dorota, po co ten pośpiech?

Helena przeprowadziła się do pokoju Łukasza, a on do sąsiedniego. Janeczka wydawała odgłosy zadowolenia w pokoiku niemowlęcym, a jej braciszek i siostrzyczka przychodzili do łóżka rodziców, tulili się, bawili albo odwiedzali Dorotę w jej łóżku i tam się bawili.

Szczęście. Szczęśliwa rodzina. Lovattowie byli szczęśliwą rodziną. To właśnie wybrali i na to zasłużyli. Leżąc twarzami ku sobie, Dawid i Harriet często czuli, jak drzwi w ich piersiach otwierają się na oścież, dając upust uczuciom intensywnej ulgi i wdzięczności, które nadal ich zdumiewały. Mimo wszystko niełatwo było tak długo zachowywać cierpliwość. Trudno im było ocalić wiarę w siebie, kiedy ciuch czasów, chciwych i samolubnych lat sześćdziesiątych, slotów był ich potępić, odizolować, pomniejszyć wszystko, co mieli w sobie najlepszego.

Poza granicami tego szczęśliwego miejsca - poza ich rodziną - szalały i przewalały się światowe burze. Beztroskie dobre czasy minęły bezpowrotnie. Firma Dawida ucierpiała, nie dostał spodziewanego awansu, ale inni stracili posady, więc i tak miał szczęście. Mąż Sary został bez pracy. Sara żartowała smutno, że ona i William ściągali na siebie całego pecha w klanie.

Harriet mówiła Dawidowi prywatnie, że jej zdaniem przyczyna nie leży w pechu: nieszczęście Sary i Williama, ich sprzeczki przypuszczalnie przyciągnęły to mongoidalne dziecko - tak, tak, oczywiście wiedziała, że nie powinna ich nazywać „mongołami”. Ale czy ta dziewczynka nie wyglądała trochę jak Czyngis - chan? Maleńki Czyngis - chan o pomarszczonej twarzyczce i skośnych oczkach? Dawid nie lubił tej cechy Harriet, fatalizmu, który nie pasował do całej jej reszty. Powiedział, że jego zdaniem jest to głupie, histeryczne myślenie. Harriet nadąsała się i musieli się godzić.

Miasteczko, w którym mieszkali, zmieniło się w ciągu pięciu lat, odkąd się wprowadzili. Brutalne zajścia i zbrodnie, kiedyś szokujące dla wszystkich, teraz były na porządku dziennym. Pod niektórymi kafejkami i na rogach ulic zbierały się gangi młodocianych, którzy nie szanowali nikogo. Do sąsiedniego domu włamano się trzykrotnie; do Lovattów jeszcze nie, ale tam zawsze byli ludzie. Na końcu ulicy stał automat telefoniczny, który wandy niszczyli tak często, że

władze się poddały: telefon przestał się nadawać do użytku. W tym okresie Harriet nawet nie przyszłoby do głowy, żeby samotnie spacerować po nocy, mimo że dawniej, w dzień i noc, chodziła wszędzie, dokąd zechciała. Wydarzenia nabrały przykrego wydźwięku: coraz bardziej wydawało się, że Anglię zamieszkuje nie jeden, ale dwa wrogie, darzące się nienawiścią i niesłyszające siebie nawzajem narody. Młodzi Lovattowie zmuszali się do czytania gazet i oglądania wiadomości telewizyjnych, chociaż instynkt podpowiadał im, by nie robić ani jednego, ani drugiego. Powinni przynajmniej wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz ich fortecy, królestwa, gdzie wychowywała się trójka cennych dzieci i gdzie tyle osób przyjeżdżało zanurzyć się w bezpieczeństwie, wygodzie, dobroci.

Czwarte dziecko, Paweł, urodziło się w 1973 roku, między Bożym Narodzeniem a Wielkanocą. Harriet nie czuła się najlepiej; cięższe nadal były kłopotliwe, pełne drobnych problemów - nic poważnego, ale czuła się zmęczona.

Jeszcze nigdy nie obchodzili tak hucznie Wielkanocy: to był ich najlepszy rok, a patrząc później wstecz, odnosili wrażenie, że cały rok był odświeżanym przez źródło miłosnej gościnności świętem, na którego straży stali Harriet i Dawid. Święto zaczęło się od Bożego Narodzenia, kiedy Harriet była tak bardzo ciężarna, wszyscy się nią opiekowali, pomagali w przygotowywaniu wystawnych posiłków, żyli zbliżającym się porodem... wiedzieli, że nadchodzi Wielkanoc, potem długie lato, potem znowu Boże Narodzenie...

Wielkanoc trwała trzy tygodnie, przez całe ferie szkolne. W domu panował tłok. Każde z trójki dzieci miało swój pokój, ale kiedy zabrakło łóżek, zakwaterowano je razem. Dzieci oczywiście to uwielbiały.

- Dlaczego nie pozwolicie im zawsze spać razem? pytała Dorota i inni. - Oddzielny pokój dla każdego z takich brzdąców?

- Ważne, żeby każdy miał własny pokój - odpowiadał stanowczo Dawid.

Rodzina wymieniała spojrzenia, jak to robią rodziny, kiedy uderzy się w czyjś czuły punkt, a Molly, która czuła się doceniona, ale i w pewien pośredni sposób krytykowana, powiedziała:

- Każdy na świecie! Wszyscy! - Miało to zabrzmieć żartobliwie.

Scena rozgrywała się w porze śniadania - czy raczej wczesnym przedpołudniem - w pokoju rodzinnym, gdzie posiłek trwał nieprzerwanie. Piętnaścioro dorosłych wciąż siedziało przy stole. Dzieci bawiły się wśród sof i krzeseł w salonie. Molly i Fryderyk, jak zwykle,

siedzieli ramię w ramię, osądzając wszystkich z perspektywy Oksfordu, za co często z nich tu podkpiwano, ale nie brali sobie lego do serca, zachowując żartobliwie - obronną postawę. Molly ponownie napisała do ojca Dawida, Jamesa, że musi „wygenerować” więcej pieniędzy, bo młoda para po prostu nie daje rady wykarmić całej czeredy. James przysłał sowity czek, a następnie pojawił się osobiście. Siedział obok byłej żony i jej męża i, jak zwykle, obydwaj typy ludzkie przyglądały się sobie, zdumione, że się spotkały. Ojciec Dawida wyglądał tak, jakby wybierał się uprawiać jakiś sport: właśnie wrócił z nart, podobnie jak Debora, która pojawiła się jak egzotyczny ptak, co z ciekawości przycupnął w obcym miejscu. Debora nie zamierzała się przyznać do podziwu. Dorota podawała herbatę i kawę. Angela siedziała z mężem; trójka jej dzieci bawiła się z innymi. Angela, sprawna, energiczna („zaradna”, jak mawiała Dorota, w domyśle: „dzięki Bogu”), dawała do zrozumienia, że, jej zdaniem, dwie pozostałe siostry zabierały Dorotę dla siebie, nic Angeli nie zostawiając. Angela przypominała sprytnego, ślicznego liska. Sara, mąż Sary, kuzyni, przyjaciele - ludzie wtulali się we wszystkie zakątki dużego domu, nawet na dole, na sofach. Strych już dawno zamienił się w sypialnię, zagraconą śpiworami i materacami, na których można było położyć dowolną liczbę dzieci. Kiedy dorośli siedzieli na dole w wielkim, ciepłym, wygodnym pomieszczeniu, gdzie na kominku płonęło drewno zebrane przez wszystkich poprzedniego dnia na spacerze w lesie, w pokojach na górze rozbrzmiewały głosy i muzyka. Starsze dzieci ćwiczyły piosenkę. W tym domu - i ten fakt określał go dla wszystkich, którzy podziwiali to, czego sami nie zdołali osiągnąć - rzadko oglądano telewizję.

Mąż Sary, William, nie siedział przy stole, ale wylegiwał się pod ścianą działową; ta niewielka odległość wyrażała jego stosunek do rodziny. Dwukrotnie odchodził od Sary i za każdym razem wracał do domu. Dla wszystkich było oczywiste, że ten proces miał trwać nadal. William znalazł sobie pracę, raczej marną, w branży budowlanej: problem polegał na tym, że fizyczna niepełnosprawność przygnębiała go, a nowo narodzona córeczka z zespołem Downa napelniała przerażeniem. Mimo to William był jak najbardziej mężem Sary. Dobrali się: wysocy, mocno zbudowani, śniadzi jak cygańska para, zawsze w barwnych strojach. Biedna dziewczynka spoczywała w ramionach Sary, zakryta, żeby nie martwić innych, a William patrzył wszędzie, tylko nie na żonę.

Zamiast tego patrzył na Harriet, która karmiła piersią dwumiesięcznego Pawła w dużym fotelu, należącym do niej, ponieważ świetnie nadawał się do karmienia. Harriet wyglądała na

wyczerpaną. Janeczka budziła się w nocy, I x > ząbkowała; domagała się nie babci, ale mamy.

Obdarowanie świata czwórką istnień ludzkich niezbyt zmieniło Harriet. Siedziała u szczytu stołu z odwiniętym kołnierzem niebieskiej koszuli odsłaniającym fragment niebiesko żyłkowanej białej piersi, a Paweł energicznie ruszał główką. Z charakterystycznie mocno ściśniętymi wargami Harriet obserwowała wszystko: zdrowa, atrakcyjna, I ‘dna życia młoda kobieta. Ale zmęczona... dzieci przybiegły domagać się jej uwagi, a Harriet, nagle poirytowana, warknęła:

- Może pójdziecie się pobawić na strychu?

To było do niej niepodobne. Dorośli znowu wymienili spojrzenia i zabrali się do chronienia Harriet przed hałasami. W końcu Angela wyszła z dziećmi.

Harriet wpadła w przygnębienie z powodu swego wybuchu.

- Nie spałam w nocy - zaczęła, ale William przerwał |j i wziął sprawy w swoje ręce. Wyraził to, co wszyscy czuli, a Harriet wiedziała. Rozumiała też, dlaczego głos musiał zabrać właśnie William, winny mąż i ojciec.

- To musi być koniec, szwagierko Harriet - oznajmił, odsuwając się od ściany, z dłonią uniesioną jak dyrygent.

Ile ty masz lat? Nie, nie mów mi, wiem. Urodziłaś czwórkę dzieci w ciągu sześciu lat... - William rozejrzał się, żeby się upewnić, że wszyscy go słuchają. Harriet widziała, że słuchają. Uśmiechnęła się ironicznie.

- Kryminalistka - powiedziała. - Oto, kim jestem.

- Weź na wstrzymanie, Harriet. Tylko o to cię prosimy ciągnął William coraz bardziej żartobliwym, komediowym tonem, jak to miał w zwyczaju.

- Przemawia ojciec czworga dzieci - powiedziała Sara, namiętnie tuląc biedną Amy. Sara prowokowała zebranych do wypowiedzenia tego, co musieli myśleć, a mianowicie, że robiła wszystko, by w ich obecności wspierać swego niezadowolającego męża. William spojrzał na żonę z wdzięcznością, jednocześnie unikając wzrokiem żalostnego zawiniątka, które chroniła.

- Tak, ale my przynajmniej rozłożyliśmy to na dziesięć lat - odparł.

- Damy spokój - oznajmiła Harriet, po czym dodała wyzywająco: - Przynajmniej na trzy lata.

Zgromadzeni spojrzeli po sobie, zdaniem Harriet - potępiająco.

- Mówiłem wam - powiedział William. - Ci szaleńcy zamierzają kontynuować.

- Ci szaleńcy z pewnością mają taki zamiar - potwierdził Dawid.

- Mówiłam wam - włączyła się Dorota. - Kiedy Harriet wbije sobie coś do głowy, możecie nie strzepić języka.

- Zupełnie jak jej matka - dorzuciła znużonym głosem Sara. Piła do decyzji Doroty, że Harriet potrzebuje jej bardziej niż Sara, bez względu na ułomne dziecko.

- Ty jesteś znacznie twardsza niż ona, Saro - powiedziała córce Dorota. - Problemem Harriet jest jej zachłanność.

Dorota stała obok Harriet, która trzymała na rękach Janeczkę drzemiącą niespokojnie po nieprzespanej nocy. Harriet siedziała wyprostowana, z zaciśniętymi ustami, nic nie umykało jej uwagi.

- A dlaczegoż by nie? - Harriet uśmiechnęła się do matki. - Czy mogłoby mi być lepiej?

- Oni zamierzają mieć jeszcze czwórkę dzieci - oznajmiła Dorota.

- Wielki Boże - powiedział James z podziwem, ale i bojaźnią. - Dobrze, że tyle zarabiam.

Uwaga ojca nie przypadła Dawidowi do gustu: zarumienił się i nie chciał na nikogo spojrzeć.

- Och, nie bądź taki, Dawidzie - powiedziała Sara, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała gorycz: dramatycznie potrzebowała pieniędzy, ale to Dawid, który miał dobrą pracę, otrzymywał dodatkową pomoc.

- Chyba nie zamierzacie naprawdę mieć jeszcze czwórki dzieci? - westchnęła Sara, a wszyscy wiedzieli, że ma na myśli cztery kolejne wyzwania rzucone losowi. Delikatnie I u dożyła dłoń na główce śpiącej Amy i zakryła ją kocykiem, i h roniąc przed światem.

- Owszem, zamierzamy - potwierdził Dawid.

- Z całą pewnością zamierzamy - dodała Harriet. - Tak naprawdę wszyscy tego chcemy, ale wybito nam to z głowy, że ludzie chcą żyć w ten sposób.

- Szczęśliwe rodziny - powiedziała krytycznie Molly - zwolenniczka życia, w którym zajęcia domowe miały swoje określone miejsce: stanowiły tło tego, co ważne.

- To my jesteśmy centrum tej rodziny - powiedział Dawid. - My: Harriet i ja. Nie ty, mamo.

- Boże broń - odparła Molly, a jej duża twarz, zawsze i umiana, zaczerwieniła się jeszcze bardziej: była poirytowana.

- Och, w porządku - dodał jej syn. - To nigdy nie był twój styl.

- To z pewnością nigdy nie był mój styl, ale nie zamierzam się z tego tłumaczyć - włączył się James.

- Ale ty byłeś cudownym ojcem, super - zaszczebiotała Debora. - A Jessica była supermamą.

Prawdziwa matka Debory uniosła brwi.

- Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek dała Molly szansę - zauważył Fryderyk.

- Ale w Anglii jest tak zi - i - imno - jęknęła Debora. James, w jasnym, zbyt jasnym stroju, przystojny, dobrze zachowany mężczyzna ubrany na letnie południe, ironicznym prychnięciem pozwolił sobie skwitować młodzieńczy brak taktu. Spojrzeniem przeprosił była żonę i jej męża za Deborę.

- W każdym razie to nie mój styl - powiedział zdecydowanie James. - Mylisz się, Harriet. Jest akurat odwrotnie. Ludziom wbito do głowy, że życie rodzinne jest najlepsze. To już przeszłość.

- Jeśli tego nie lubisz, to czemu tu jesteś? - zapytała Harriet, stanowczo zbyt wojowniczo jak na tę przyjemną poranną scenę. Po chwili oblała się rumieńcem i wykrzyknęła: - Nie, nie miałam tego na myśli.

- Oczywiście, że nie miałaś - powiedziała Dorota. - Jesteś przemęczona.

- Przyjeżdżamy tutaj, bo jest uroczo - zapewniła kuzynka Dawida, licealistka. Miała za sobą nieszczęśliwe, w każdym razie skomplikowane dzieciństwo. Zaczęła tu spędzać wakacje, a rodzice cieszyli się, że może zakosztować prawdziwego życia rodzinnego. Miała na imię Bridget.

Dawid i Harriet wymieniali długie, krzepiące, żartobliwe spojrzenia, jak to mieli w zwyczaju, i dlatego nie usłyszeli licealistki, która zerkała na nich żałośnie.

- Dajcie spokój, powiedzcie Bridget, że jest tu mile widziana - powiedział William.

- Co? Co się stało? - dopytywała się Harriet.

- Musicie powiedzieć Bridget, że jest mile widziana. Cóż, od czasu do czasu nam wszystkim trzeba to powtarzać - dodał William swoim żartobliwym tonem i mimowolnie się uśmiechnął.

- Naturalnie, że jesteś mile widziana, Bridget - zapewnił Dawid. Spojrzał na Harriet, która powiedziała natychmiast:

- Ależ oczywiście. - Chciała przez to powiedzieć: „Rozumie się samo przez się”, a na jej słowach ciążyło tysiąc dyskusji małżeńskich. Bridget wodziła wzrokiem od Dawida do Harriet,

potem popatrzyła na rodzinę i powiedziała:

- Kiedy wyjdę za mąż, to właśnie zrobię. Będę taka jak Dawid i Harriet, będę miała duży dom i mnóstwo dzieci... a wy wszyscy będziecie tam mile widziani. – Ta nastoletnia, prostoduszna, pulchna brunetka wkrótce miała rozkwitnąć w piękność. Wszyscy mieli co do tego pewność i mówili o tym Bridget.

- To naturalne - zauważyła spokojnie Dorota. - Nie masz właściwie żadnego domu, więc doceniasz takie chwile.

- W tej logice coś szwankuje - stwierdziła Molly. Licealistka powiodła zdezorientowanym wzrokiem wokół stołu.

- Moja matka chce powiedzieć, że możesz cenić tylko to, czego doświadczyłaś - wyjaśnił Dawid. - Jednak ja jestem żywym dowodem, że tak nie jest.

- Jeśli mówisz, że nie miałeś odpowiedniego domu, to czysty nonsens - zaproponowała Molly.

- Miałeś dwa - dodał James.

- Miałem swój pokój - uściślił Dawid. - Mój pokój był moim domem.

- Cóż, chyba musimy być wdzięczni, że to przyznałeś. Nie zdawałem sobie sprawy, że cierpisz niedostatek zauważył Fryderyk.

- Nigdy nie cierpiałem niedostatku, miałem swój pokój. Postanowili wzruszyć ramionami i się roześmiać.

- Nie pomyślałeś nawet o problemach związanych z wykształceniem wszystkich dzieci - powiedziała Molly.

- W każdym razie nie widzimy, żebyś się nad tym zastanawiał.

Zacząła się ujawniać różnica zdań, którą życie w tym domu z powodzeniem łagodziło. Dawid, rzecz jasna, uczęszczał do szkół prywatnych.

- Łukasz zacznie w tym roku lokalną szkołę - powiedziała Harriet. - Helena zacznie w przyszłym roku.

- No cóż, jeśli to wam wystarczy - odparła Molly.

- Moje trzy córki chodziły do zwykłych szkół - wtrąciła natychmiast Dorota, ale Molly nie podjęła wyzwania.

- Cóż, jeśli James nie pomoże... - powiedziała Molly, dając jasno do zrozumienia, że ona i Fryderyk nie mogą bądź nie chcą pomagać.

James nic nie powiedział. Nie pozwolił sobie nawet na ironiczny wyraz twarzy.

- Następnym etapem wykształcenia Łukasza i Heleny nie musimy się martwić wcześniej niż za pięć, sześć lat - powiedziała Harriet, znowu nadmiernie rozdrażniona.

- Dawida zapisaliśmy do prywatnych szkół, kiedy się tylko urodził. To samo było z Deborą - nalegała Molly.

- Czy z powodu swoich snobistycznych szkół jestem w czymkolwiek lepsza od Harriet albo kogokolwiek? - spytała Debora.

- To poważny argument - stwierdził James, który opłacił snobistyczne szkoły.

- Niezbyt poważny - powiedziała Molly.

William westchnął i spróbował obrócić wszystko w żart:

- My wszyscy jesteśmy społecznie upośledzeni. Biedny William. Biedna Sara. Biedna Bridget. Biedna Harriet. Powiedz, Molly, czy gdybym ukończył snobistyczne szkoły, dostałbym teraz przyzwoitą pracę?

- Nie w tym rzecz - odparła Molly.

- Ona chce powiedzieć, że czułbyś się szczęśliwszy jako bezrobotny albo na beznadziejnej posadzie z dobrym wykształceniem niż ze słabym wykształceniem - wyjaśniła Sara.

- Przepraszam - powiedziała Molly. - Szkolnictwo publiczne jest okropne. Staje się coraz gorsze. Harriet i Dawid mają czworo dzieci, które trzeba wykształcić. Najwyraźniej będzie ich jeszcze więcej. Skąd wiecie, że James będzie w stanie wam pomóc? Wszystko może się wydarzyć.

- Wszystko się wydarza przez cały czas - powiedział gorzko William, ale zaśmiał się, żeby złagodzić swoje słowa.

Zgnębiona Harriet poruszyła się na krześle, odsunęła Pawła od piersi, zręcznie się osłaniając, co wszyscy zauważyli i podziwiali, po czym powiedziała:

- Nie chcę ciągnąć tej rozmowy. Jest cudowny poranek... Oczywiście pomogę wam, w rozsądnych granicach - zapewnił James.

- Och, James... dziękuję... dziękuję - powiedziała Harriet.

- Mój Boże, może wybierzmy się do lasu... Moglibyśmy zrobić piknik.

Ranek minął. Nadeszło południe. Promienie słońca padły na brzegi wesołych czerwonych zasłon, nadając im intensywnie pomarańczową barwę; pomarańczowe romby zajaśniały na stole

pośród filiżanek, spodków i mis z owocami. Dzieci zeszły z góry do ogrodu. Dorośli pilnowali i? li przez okna. Ogród zarastał; stale brakowało na niego czasu. Na trawniku, miejscami soczystym, leżały porzucane zabawki. Ptaki śpiewały w krzakach, nie bacząc na dzieci. Postawiona przez Dorotę Janeczka niepewnym krokiem dołączyła do pozostałych. Dzieci bawiły się hałaśliwie, ale Janeczka była za mała, więc to włączała się do zabawy, to z niej wyłączała, pozostając w prywatnym świecie dwulatka. Dzieci zrecznie dostosowały zabawę do jej poziomu. Tydzień wcześniej, w niedzielę wielkanocną, w całym ogrodzie pochowano pisanki. Cudowny dzień: dzieci znosiły zewsząd czarodziejskie jajka, które Harriet, Dorota i licealistka Bridget malowały przez pół nocy.

Harriet i Dawid stali przy oknie, ona z dzieckiem na ręku. Dawid objął żonę. Wymienili pospieszne spojrzenia, na wpół winni z powodu uśmiechów, które pewnie rozdrażnią innych.

- Wy dwoje jesteście niepoprawni - stwierdził William. Są beznadziejni - zwrócił się do pozostałych. - Cóż, kto narzeka? Ja nie! Jedźmy na ten piknik.

Goście wypełnili pięć samochodów, dzieci wcisnęły się albo wdrapały dorosłym na kolana.

Lato było takie samo: przez dwa miesiące rodzina zjeżdżała się, rozjeżdżała i znowu zjeżdżała. Biedna licealistka Bridget nie opuszczała domu, kurczowo uczeplona cudu rodziny. Podobnie rzecz się miała z Harriet i Dawidem. Patrząc na pełną szacunku, wręcz nabożnego lęku twarz dziewczyny, stale na czatach, jakby obawiała się, że gdy tylko pozwoli sobie na nieuwagę, umknie jej jakieś objawienie dobroci czy łaski, widzieli siebie. Widzieli siebie z pewnym skrepowaniem. Tego było zbyt wiele... przesada... Powinni jej powiedzieć: „Słuchaj, Bridget, nie oczekuj aż tak wiele. Życie nie jest takie!”. Ale życie jest takie, jeśli człowiek wybierze właściwie: dlaczego więc czuli, że dziewczyna nie mogła mieć tego, co oni posiadali w takiej obfitości?

Zanim jeszcze ludzie zjechali się na Boże Narodzenie 1973 roku, Harriet ponownie zaszła w ciążę. Fakt ten przygnębił zarówno ją, jak i Dawida. Jak to się mogło stać? Tak bardzo uważali, zwłaszcza że postanowili przez pewien czas nie mieć więcej dzieci. Dawid silił się na żarty: „Przysięgam, że to ten pokój jest dzieciorobem!”.

Powiadomienie Doroty odłożyli na później. Zresztą nie było jej na miejscu, bo Sara oświadczyła, że nie jest sprawiedliwe, by Harriet dostawała całą pomoc. Harriet po prostu nie dawała sobie rady. Zatrudniono kolejno trzy dziewczyny do pomocy; właśnie skończyły szkołę i

miały trudności ze znalezieniem pracy. Na wiele się nie zdały. Harriet uważała, że to ona bardziej się nimi opiekuje niż one nią. W zależności od nastroju przychodziły do pracy lub nie, potem siadały, piły herbatę z koleżankami, podczas gdy Harriet harowała. Była rozgorączkowana, wyczerpana, drażliwa; traciła równowagę; wybuchała płaczem... Dawid widział, jak siadała przy stole w kuchni, z głową w dłoniach; mruzczała, że ten nowy plód ją zatrzyma. Porzucony Paweł kwilił w wózku. Dawid wziął dwutygodniowy urlop, żeby pomóc w domu. Już wcześniej wiedzieli, jak wiele zawdzięczają Dorocie, ale teraz uzmysłowili to sobie jeszcze dobitniej. Byli pewni, że na wieść o kolejnej ciąży Harriet rozgniewa się. Bardzo. I będzie miała rację.

- Będzie nam łatwiej, kiedy przyjdzie Gwiazdka - płakała i Harriet.

- Chyba nie mówisz poważnie - wściekł się Dawid. Oczywiście nie mogą przyjechać na to Boże Narodzenie.

- Kiedy są ludzie, jest łatwiej, wszyscy mi pomagają.

- Ten jeden raz pojedziemy do kogoś - zaproponował Dawid, ale ten pomysł nie żył dłużej niż pięć minut: u nikogo z rodziny nie pomieściłoby się dodatkowe sześć osób.

Harriet łkała na łóżku.

- Oni muszą przyjechać, nie odwołuj ich... proszę, Dawidzie... przynajmniej oderwę się myślami.

Dawid siedział po swojej stronie łóżka, patrząc na żonę, skrepowany, krytyczny, choć starał się taki nie być. Nie miałby nic przeciwko temu, by dom nie wypełniał się tłumem ludzi na trzy tygodnie, miesiąc: święta były kosztowne, a im stale brakowało pieniędzy. Wcześniej wziął sobie dodatkową pracę, a teraz siedział w domu jako opiekunka.

- Musisz po prostu przyjąć kogoś do pomocy, Harriet. Musisz spróbować zatrzymać jedną z tych dziewcząt.

- To nieuczciwe! - oburzyła się Harriet. - To nie ty musisz tu z nimi siedzieć. Są do niczego. Żadna z tych dziewczyn nie przepracowała w życiu chyba ani godziny.

- Trochę pomogły, choćby tylko przy zmywaniu. Dorota zadzwoniła z wiadomością, że Sara i Harriet będą musiały radzić sobie same: ona, Dorota, musi odpocząć. Zamierzała wrócić do siebie i przez kilka tygodni żyć według własnego widzimisię. Harriet łkała, ledwo mogła mówić. Dorota nie zdołała wyciągnąć z córki, co się stało.

- Dobrze, wygląda na to, że jednak muszę przyjechać. Dorota usiadła przy wielkim stole z Dawidem, Harriet i czwórką dzieci i spojrzała na córkę surowo. W pół godziny po przyjeździe

zrozumiała, że Harriet znowu jest w ciąży. Po stężelej, gniewnej twarzy Doroty poznali, że ma do powiedzenia okropne rzeczy. Jestem waszą służącą, wykonuję w tym domu pracę służącą”. Albo: „Oboje jesteście bardzo samolubni. Jesteście nieodpowiedzialni”. Te słowa wisiały w powietrzu, ale nie zostały wypowiedziane: wiedzieli, że jeśli Dorota pozwoli sobie zacząć, to na tym nie poprzestanie.

Siedziała u szczytu stołu - w pobliżu pieca - mieszając herbatę, zerkając na maleńkiego Pawła, który wiercił się na krzeselku i domagał się pieśczot. Także Dorota wyglądała na zmęczoną, jej siwe włosy były w nieładzie: właśnie szła na górę do swego pokoju, żeby się uczesać, kiedy wpadła w objęcia Łukasza, Heleny i Janeczki. Stęsknione za babcią dzieci wiedziały, że rozdrażnienie i zniecierpliwienie, do tej pory rządzące życiem domu, teraz zostaną przepędzone.

- Wiecie, że wszyscy spodziewają się przyjechać tu na Boże Narodzenie - powiedziała ciężko, unikając ich wzroku.

- O, tak, tak, tak - zaszczębiotali Łukasz z Heleną i zatańczyli wokół kuchni. - O, tak, kiedy przyjadą? Czy Antos przyjedzie? A Robin? A Ania?

- Siadajcie - rzucił ostro Dawid, dzieci spojrzały na niego ze zdumieniem i urazą i usiadły.

- To szaleństwo - powiedziała Dorota, zarumieniona od gorącej herbaty oraz wszystkich rzeczy, które w sobie dusiła.

- Oczywiście, że wszyscy muszą przyjechać - wyrzuciła z siebie Harriet i z płaczem wybiegła z pokoju.

- To jest dla niej bardzo ważne - powiedział Dawid przepaszająco.

- A dla ciebie nie? - Pytanie Doroty zabrzmiało sarkastycznie.

- Rzecz w tym, że według mnie Harriet zupełnie nie ma kontaktu ze sobą - mówił Dawid, patrząc Dorocie w oczy, by zmusić ją do konfrontacji, jednak bez skutku.

- Co to znaczy, że mama nie ma kontaktu ze sobą? zapytał sześciolatek Łukasz, gotów zrobić z tego grę słowną. Albo zagadkę. Mimo to był wyraźnie zaniepokojony. Dawid wyciągnął rękę, a Łukasz podszedł do ojca, spojrzawszy mu w twarz.

- Wszystko w porządku, Łukasz - zapewnił Dawid.

- Musicie przyjąć kogoś do pomocy - powiedziała Dorota.

- Próbowaliśmy. - Dawid wyjaśnił, co się stało z trzema sympatycznymi, beztruskimi dziewczętami.

- Wcale mnie to nie dziwi. Komu się chce dziś uczciwie pracować? Ale musicie kogoś zatrudnić. Nie spodziewałam Olę kończyć życia jako służąca - wasza i Sary.

Po tych słowach Łukasz i Helena popatrzyli na babcię z niedowierzaniem i wybuchnęli płaczem. Po chwili Dorota panowała się i zaczęła pocieszać wnuki.

- Już dobrze, już dobrze. Teraz położę Pawła i Janeczkę spać. Wy dwoje, Łukaszku i Helenko, możecie położyć lic sami. Przyjdę pocałować was na dobranoc. Potem babcia idzie spać. Jestem zmęczona.

Dzieci ruszyły w górę po schodach z nosami na kwintę.

Tego wieczoru Harriet już nie zeszła na dół; mąż i matka wiedzieli, że jest jej niedobrze. Przyzwyczaili się do tego...ile nie przyzwyczaili się do złego humoru, łez, niepokojów.

Kiedy dzieci poszły spać, Dawid usiadł do pracy, którą wziął do domu, potem zrobił sobie kanapkę. Dorota zeszła na dół zaparzyć sobie herbatę i dołączyła do zięcia, tym razem nie wymieniali kąśliwych uwag: siedzieli w solidarnym milczeniu, jak para starych wojowników, przed którymi piętrzą się próby i trudności.

Potem Dawid poszedł na górę do wielkiej cienistej sypialni, gdzie na suficie tańczyły cienie i blaski światła z okna sąsiedniego, oddalonego o dobre trzydzieści jardów domu. Stał, patrząc na duże łóżko, gdzie leżała Harriet. Śpi? Pawełek spał obok niej odkryty. Dawid ostrożnie się pochylił, owinał synka w kocyk i zaniósł do sąsiedniego pokoju. Dostrzegł błyszczące oczy Harriet, śledzącej jego ruchy.

Położył się do łóżka, jak zwykle wysunął rękę, żeby Harriet mogła złożyć na niej głowę, przyciągnął ją ku sobie.

- Dotknij tu - powiedziała, kierując dłoń męża na swój brzuch.

Zbliżał się trzeci miesiąc ciąży. Dotychczas nowe dziecko nie zdradzało oznak niezależnego życia, ale teraz Dawid poczuł pod dłonią drgnięcie, całkiem mocny ruch.

- Czy możliwe, że jest później, niż sądziłaś? - Ponownie poczuł kopnięcie i nie mógł uwierzyć.

Harriet znowu płakała, a Dawid czuł - oczywiście wiedząc, że to nieuczciwe - że żona łamie zasady pewnej obopólnej umowy: łez ani żalu nigdy nie mieli w planie!

Harriet czuła się odrzucona przez męża. Zawsze uwielbiali tu leżeć i wyczuwać, witać nowe życie. Czterokrotnie czekała na pierwsze drobne drgnięcia, najpierw łatwe do przeoczenia, ale potem niepozostawiające wątpliwości; wrażenie, jakby ryba wypuszczała z pyszczka

banieczkę powietrza; drobne reakcje na jej ruchy, jej dotyk, a nawet - była przekonana - na jej myśli.

Nazajutrz, leżąc w ciemności przed obudzeniem się dzieci, poczuła w brzuchu natarczywe stukanie. Usiadła z niedowierzaniem i spojrzała na ciągle płaski, choć miękki brzuch. Poprzedniego dnia stale się ruszała, żeby nie czuć żądań nowego stworzenia, niepodobnych do wszystkiego, co znała.

- Lepiej pójdź do doktora Bretta i sprawdź terminy - powiedział Dawid.

I Harriet nie odpowiedziała. Czowała, że nie w tym rzecz, choć wcale nie wiedziała dlaczego. Mimo to udała się do doktora Bretta.

Cóż, może pomyliłem się o miesiąc, ale jeśli tak, to I byłaś naprawdę bardzo nieostrożna, Harriet - powiedział. Ponieważ ostatnio wszyscy ją tylko strofowali, Harriet wybuchnęła:

- Każdy może popełnić błąd.

Wyczuwając silne ruchy w jej brzuchu, doktor Brett zmarszczył brwi i zauważył:

- Cóż, w tym chyba nie ma nic szczególnie niepokojącego, prawda? - Jednak na jego twarzy malowało się z wątpienie. Był zatroskanym, niemłodym już mężczyzną, który, jak słyszała, miał kłopoty małżeńskie. Harriet zawsze i czuła wobec niego pewną wyższość. Teraz leżała pod rękami ginekologa, zdana na jego łaskę, patrzyła w profesjonalnie powściągliwą twarz i czekała, aż lekarz powie i coś innego. Co? Wyjaśnienie.

- Będziesz musiała trochę poluzować - powiedział, odwracając się.

- Sam sobie poluzuj! - mruknęła za jego plecami, ale zaraz się zganiła: Ty nie zrównoważona krowo.

Każdemu, kto przyjeżdżał na Boże Narodzenie, mówiono, że Harriet jest w ciąży - to był błąd - ale teraz naprawdę byli zadowoleni. Chociaż, jak powiedziała I) <>rota, „Niech każdy mówi za siebie”. Goście musieli się nawzajem wspierać, nawet bardziej niż zwykle. Harriet miała nie gotować ani nie zajmować się domem. Trzeba jej było usługiwać.

Słyszając nowinę, każdy kolejny gość okazywał zdumienie, potem zaczynał żartować. Harriet i Dawid wchodzili do pokoiów pełnych krewnych, którzy natychmiast milkli, leszcze chwilę wcześniej wymieniali potępiające uwagi. W pełni doceniano rolę Doroty w utrzymywaniu domu. Wspominano o obciążeniu dla pensji Dawida, nie tak znowu wysokiej. Żartowano na temat przypuszczalnej reakcji Jamesa na nowinę. Potem zaczęły się docinki. Dawidowi i Harriet gratulowano płodności, żartowano na temat wpływu ich sypialni. Małżonkowie witali te kpiny z

uczuciem ulgi. Mimo to pod całą tą wesołością krył się jad, a ludzie patrzyli na młodych Lovattów inaczej niż dotychczas. Spokojna, cicha cierpliwa jakość, która zebrała ich razem, powołała do życia ten dom i zwołała tych wszystkich nieprawdopodobnych ludzi z różnych stron Anglii i świata - James miał przybyć z Bermudów, Debora ze Stanów, nawet Jessica obiecała na chwilę wpaść - ta jakość, czymkolwiek była, apetytem na życie, który dawniej spotykał się z szacunkiem (niechętnym lub serdecznym), teraz ukazywała swoją drugą stronę w postaci Harriet leżącej w łóżku, bladej i nietowarzyskiej, potem schodzącej na dół z zamiarem włączenia się do zabawy, ale ponoszącej klęskę i wracającej na górę; w postaci posępnej cierpliwości Doroty, która pracowała od świtu do zmierzchu, a często także po nocach; wreszcie w postaci kłótności i domagania się uwagi ze strony dzieci - zwłaszcza małego Pawia.

Zatrudniono kolejną dziewczynę z wioski, znaną przez doktora Brett. Podobnie jak trzy poprzednie była sympatyczna, leniwa, nie zauważała niczego, co należało zrobić, jeśli nie podetknięto jej tego pod nos. Czuła się urażona nawałem pracy przy czwórce dzieci. Cieszyły ją za to wspólne rozmowy, towarzyska atmosfera i wkrótce jadła posiłki z resztą, przesiadywała przy stole; wydawało jej się całkiem naturalne, że jej usługują. Wszyscy wiedzieli, że dziewczyna znajdzie wymówkę, by odejść, kiedy tylko to uroczyste przyjęcie dobiegnie końca.

Faktycznie dobiegło, nawet wcześniej niż zwykle. Nie tylko Jessica (w jasnych letnich strojach, których jedynym ustępstwem wobec angielskiej zimy był cienki wełniany sweter) przypomniała sobie o innych znajomych, którym obiecała wizytę. Jessica wyjechała, a wraz z nią Debora. Jako następny pożegnał się James. Fryderyk musiał skończyć książkę. Egzaltowana licealistka Bridget zastała Harriet leżącą z dłońmi przyciśniętymi do brzucha, z twarzą zalaną łzami, wyjąca z bólu, którego nie potrafiła dokładnie opisać. Dziewczyna doznała szoku, z płaczem wykrzyknęła, zawsze wiedziała, że to wszystko jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, po czym wróciła do matki, która właśnie ponownie wyszła za mąż i tak naprawdę nie i chciała Bridget w domu.

Dziewczyna do pomocy wróciła do domu, a Dawid zaczął się rozglądać w Londynie za zawodową opiekunką. Nie było go na nią stać, ale James obiecał, że zapłaci. Do czasu, gdy Harriet poczuje się lepiej, powiedział. Naburmuszony, co było do niego niepodobne, dawał do zrozumienia, że Harriet wybrała taki styl życia, a teraz ona powinna oczekiwać, że wszyscy będą płacić.

Opiekunki nie udało się znaleźć: wszystkie chciały jechać za granicę z rodzinami z

małym dzieckiem albo pracować w Londynie. Odstępowało je miasteczko oraz czwórka dzieci i piąte w drodze.

Dorocie zaczęła pomagać Alicja, kuzynka Fryderyka, wdowa w trudnej sytuacji życiowej. Alicja była szybka, pedantyczna, nerwowa jak mały szary terier. Miała troje dorosłych dzieci i wnuki, ale powiedziała, że nie chce im się naprzykrzać. Ta uwaga wywołała kąśliwe komentarze Doroty, które w uszach Harriet zabrzmiały jak oskarżenia. Doroty nie cieszyła perspektywa dzielenia się autorytetem z rówieśniczką, ale nic nie można było poradzić. Harriet i tak prawie z niczym nie dawała sobie rady.

Ponownie odwiedziła doktora Bretta, bo nie mogła spać ani odpoczywać z powodu energicznego płodu, który jakby próbował wyrwać się z jej brzucha.

- Proszę tylko spojrzeć - powiedziała, podczas gdy brzuch wznosił się, drgał, opadał. - Pięć miesięcy.

Po przeprowadzeniu rutynowych badań lekarz oświadczył:

- Jest duże jak na piąty miesiąc, ale nie odbiega o normy.

- Czy widziałeś coś podobnego? - Pytanie Harriet zabrzmiało ostro, apodyktycznie, a lekarz spojrział na nią z rozdrażnieniem.

- Z całą pewnością widywałem już energiczne dzieci - powiedział lakonicznie, a kiedy dopytywała się: „w piątym miesiącu? Takie?”, unikał jej wzroku, co, zdanie Harriet, dowodziło nieuczciwości.

- Dam ci środek uspokajający - powiedział. Dla niej Ona jednak myślała o tym jako o lekarstwie na uciszeń dziecka.

Obawiając się prosić doktora Bretta, błagała przyjaciółki siostry o kolejne środki uspokajające. Nie informowała Dawida, ile bierze; po raz pierwszy coś przed nim ukrywa. Po zażyciu leków przez Harriet płód uspokajał się może na godzinę, dzięki czemu mogła odpocząć od nieustanne łomotania i szarpania. Czasami krzyczała z bólu. W no Dawid słyszał jęki i łkanie żony, ale nie pocieszał jej, wydawało mu się, że ostatnio Harriet nie czerpie z jej objęć żadnej otuchy.

- Boże mój - mówiła, albo stękała, albo jęczała, potem nagle siadała lub zwlekała się z łóżka i zgięta wpół wybiegała z pokoju, uciekając przed bólem.

Dawid przestał kłaść dłoń na brzuchu żony w dawniej przyjazny sposób, ponieważ nie był w stanie znieść tego co tam wyczuwał. Niemożliwe, żeby tak małe stworzenie okazywało

równie przeraźliwą siłę, a jednak okazywało. Słowa Dawida nie docierały do Harriet. Czuł że jest opętana. Oddaliła się od męża w walce z płodem w której Dawid nie mógł uczestniczyć.

Czasami budził się i widział, jak Harriet chodzi p pokoju w ciemności, godzina po godzinie. W końcu kładła się i wyrównywała oddech, ale po chwili znowu zrywała się z okrzykiem, a wiedząc, że Dawid nie śpi, schodziła do dużego pokoju dziennego, gdzie, z dala od spojrzeń, mogła chodzić tam i z powrotem, jęczeć, kłąć i łkać.

Zbliżała się Wielkanoc, dwie starsze kobiety zaczęły wspominać o przygotowaniu domu, ale Harriet powiedziała: - Oni nie mogą przyjechać, to wykluczone. Spodziewają się tego - zauważyła Dorota. Poradzimy sobie - zapewniła Alicja. Nie - ucięła Harriet. Krzyki protestu ze strony dzieci nie skłoniły Harriet do zmiany zdania, co dodatkowo wzmogło dezaprobatę Doroty. Oto ona i Alicja, dwie sprawne kobiety, wykonywały całą pracę, więc Harriet mogła przynajmniej...

- Jesteś pewna, że nie chcesz ich widzieć? – spytał Dawid, którego dzieci błagały, by wpłynął na matkę.

Och, róbcie, co chcecie - powiedziała, jednak z nadejściem Wielkanocy okazało się, że Harriet miała rację. Jej napięta, nieobecna twarz, kiedy siedziała przy stole sztywno wyprostowana, zbierając się w sobie przed kolejnym wierzgnięciem czy dźgnięciem, wstrzymywała rozmowy, psuła dobrą zabawę.

- Co ty tam masz? - spytał żartobliwie, choć niepewnie William na widok dygoczącego brzucha Harriet. - Zapaśnika?

- Bóg jeden wie - odparła Harriet gorzko. - Jak ja i wytrwam do lipca? - spytała cichym, przerażonym głosem.

- Nie dam rady! Po prostu nie dam rady!

Wszyscy - także Dawid - uznali, że Harriet jest po prostu wyczerpana, ponieważ dziecko śpieszy się na świat. osamotniona w swojej próbie - wiedziała, że tak musi być i nie obwinała rodziny za to, że nie akceptowała lego, co ona musiała stopniowo zaakceptować - stała się milcząca, ponura, podejrzliwa wobec wszystkich i wobec ich myśli o niej. Pomagał tylko ruch.

Jeśli środek uspokajający uciszał wroga - tak myślała teraz o dzikusie w swoim ciele - na godzinę, Harriet optymalnie wykorzystywała ten czas i spała, chciwie chwytła sen, tuliła go, piła tak długo, aż musiała wyskoczyć z łóżka, bo dziecko budziło się, napierając na nią z taką siłą, że zbierało jej się na mdłości. Sprzątała kuchnię, salon, schody, myła okna, szorowała szafki, całym

ciałem energicznie przeciwstawiając się bólowi. Nalegała, by matka i Alicja pozwoliły jej pracować, a kiedy mówiły, że nie ma potrzeby jeszcze raz szorować kuchni, odpowiadała:

- Kuchnia tego nie potrzebuje, ale ja tak.

Zdarzało się, że przed śniadaniem pracowała przez trzy czy cztery godziny, a potem wyglądała na kompletnie wykończoną. Odwoziła Dawida na stację, dwoje starszych dzieci do szkoły, potem parkowała gdzieś samochód i spacerowała. Całymi godzinami niemal biegała po ulicach, których prawie nie widziała, aż pojęła, że prowokuje komentarze. Wtedy zaczęła wyjeżdżać z miasta i szybko chodziła lub biegała po wiejskich drogach. Ludzie w przejeżdżających samochodach odwracali się zdumieni na widok rozpędzonej, zdyszanej kobiety o bladej twarzy, z rozwianymi włosami, otwartymi ustami i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Jeśli zatrzymywali się, by zaoferować pomoc, kręciła głową i biegła dalej.

Czas mijał. Owszem, mijał, choć Harriet podlegała innemu rytmowi niż otaczający ją ludzie; nie był to też powolny czas ciężarnej kobiety, kalendarz wzrostu ukrytego stworzenia. Jej czas był wytrzymałością zawierającą ból. Mózg Harriet zaludniły zjawy i chimery. Kiedy naukowcy w ramach doświadczeń krzyżują dwa gatunki zwierząt różnej wielkości, myślała, chyba właśnie tak czuje się biedna matka. Wyobrażała sobie żalosne, sfuszerowane stworzenia, dla niej upiornie realne, potomstwo doga czy charta rosyjskiego ze spanielkiem, lwa z psem, potężnego konia pociągowego z osiołkiem, tygrysa z koźlą.

Z czasem Harriet zdawało się, że jej delikatne ciało rozrywają od środka kopyta, czasem, że szpony.

Po południu odbierała dzieci ze szkoły, później Dawida ze stacji. W porze kolacji chodziła po kuchni, zachęcała dzieci do oglądania telewizji, potem szła na trzecie piętro, niezwykle szybkimi krokami przemierzała korytarz.

Domownicy słyszeli jej pospieszne, ciężkie kroki na piętrze i nie patrzyli sobie w oczy.

Czas mijał. Owszem, mijał. Siódmy miesiąc był lepszy z powodu ilości zażywanych przez nią leków. Przerazona dystansem, który odgrodził ją od męża, dzieci, matki i Alicji, Harriet planowała teraz dzień tylko pod jednym kalem: pragnęła zachowywać się normalnie od szesnastej, kiedy Helena i Łukasz kończyli szkołę, do dwudziestej, dwudziestej pierwszej, kiedy kładli się spać. Środki uspokajające najwyraźniej słabo na nią działały: kazała dzieciom zostawić ją w spokoju i dotrzeć do dziecka, płodu, stworzenia, z którym zwarła się w walce o przetrwanie. W ciągu tych godzin, istotnie, zachowywało się spokojnie, a gdy zaczynało się budzić i walczyć,

zażywała kolejną i ławkę.

Z jaką radością wszyscy powitali ją, normalną, z powrotem na łonie rodziny: ponieważ Harriet tego chciała, przymykali oko na jej napięcie i zmęczenie.

Dawid obejmował żonę i pytał:

- Och, Harriet, dobrze się czujesz? Jeszcze dwa miesiące.

- Tak, tak, w porządku. Naprawdę. - Po czym bezgłośnie zwracała się do stworzenia przyczajonego w jej łonie: „Zamknij się, albo wezmę jeszcze jeden proszek”. Miała wrażenie, że płód słucha i rozumie.

Scena w kuchni: kolacja rodzinna. Harriet i Dawid zajmowali główne miejsca po przeciwnych stronach stołu. Łukasz i Helena siedzieli po tej samej stronie. Alicja trzymała małego Pawła, który nigdy nie miał dość pieszczot: tak niewiele dostawał ich od matki. Janeczka siedziała obok miejsca Doroty, która stała przy kuchni z chochlą w dłoni. Harriet spojrzała na matkę, dużą, zdrową kobietę po pięćdziesiątce, z szopą siwych włosów, o czerstwej, rumianej twarzy i dużych niebieskich oczach „jak lizaki” - taki rodzinny dowcip - i pomyślała: Jestem równie silna, jak ona. Wytrwam. Uśmiechnęła się do Alicji, chudej, żylastej, silnej, energicznej i po raz kolejny pomyślała: Spójrz tylko na te starsze kobiety, one przetrwały wszystko.

Dorota nalewała zupę jarzynową. W końcu usiadła z własnym talerzem. Wokół stołu podawano sobie duży koszyk z pieczywem.

Szczęście wróciło i usiadło z nimi przy stole. Dłoń Harriet, niewidoczna pod blatem stołu, spoczywała na wrogu: „Ty siedź cicho”.

- Bajkę - poprosił Łukasz. - Bajkę, tato.

W dni, po których szło się do szkoły, dzieci dostawały wczesną kolację i szły spać. W piątki i soboty jadły razem z dorosłymi, a podczas posiłku opowiadano bajkę.

Tu, w zaciszu przytulnej kuchni, było ciepło i pachniało zupą. Na dworze szalała nocna burza. Maj. Zasłon nie zaciągnięto. Za oknem widniała gałąź: wiosenna gałąź obsypana nieskazitelnym, jasnym o zmroku kwieciem, ale napierające na szyby powietrze wiatr musiał przygnać na południe z jakiegoś lodowca czy śnieżnych pól. Harriet jadła zupę, krusząc chleb do talerza. Miała wilczy, nienasycony apetyt - zawstydzona, plądrowała lodówkę, kiedy nikt jej nie widział. Przerывała nocne przechadzki, by napychać się wszystkim, co tylko znalazła. Jak alkoholiczka, miała nawet swoje tajne skrytki, tyle że chowała w nich jedzenie: czekoladę, chleb, zapiekanki.

- Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, wyruszyli pewnego dnia do lasu - zaczął Dawid.
- Zapuscili się głęboko w las. Dzień był upalny, ale pod drzewami panował mój. Dzieci zobaczyły leżącego jelonka, który odpoczywał. Ptaki furkotały i śpiewały dla nich. Dawid przestał jeść zupę, Helena i Łukasz siedzieli bez ruchu, nie spuszczać wzroku z twarzy ojca. Czteroletnia Janeczka też słuchała, choć inaczej: patrzyła, jak rodzeństwo reaguje na opowieść, i naśladowała je, kierując wzrok na ojca.

Czy ptaki śpiewają dla nas? - spytał z powątpiewaniem I u kasz, marszcząc brwi. Miał mocną, surową twarzyczkę I, jak zwykle, domagał się prawdy. - Kiedy jesteśmy w ogrodzie i ptaki śpiewają, to czy śpiewają dla nas?

- Oczywiście, że nie, głupku - odparła Helena. - To był zaczarowany las.

- Oczywiście, że śpiewają dla was - powiedziała Dorota stanowczo.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu dzieci siedziały z łyżkami w dłoniach, patrząc na ojca szeroko otwartymi oczyma. Harriet było ciężko na sercu: dzieci były tak pilne, tak bezradne. W telewizji profesjonalnie chłodny głos mówił o morderstwach na przedmieściach Londynu. I Harriet powlokła się do telewizora, żeby go wyłączyć, ciężkim krokiem wróciła do stołu, dołapała sobie zupy, zanurzyła chleb... Słuchała głosu Dawida. Dziś był to głos opowiadacza, tak często słyszany w kuchni, jej głos, głos Doroty...

Kiedy dzieci zgłodniały, znalazły krzak obwieszony z czekoladkami. Potem znalazły staw pełen soku pomarańczowego. Zachciało im się spać. Położyły się pod krzakiem i wtuliły w przyjaznego jelonka. Po przebudzeniu podziękowały jelonkowi i ruszyły w dalszą drogę... Dziewczynka spostrzegła nagle, że jest sama. Ona i brat się pogubili. Chciała wrócić do domu. Nie wiedziała, w którą stronę iść. Rozglądała się za przyjaznym jelonkiem, wróblem albo innym ptakiem, który powiedziałby jej, gdzie się znajduje, i wskazał drogę z lasu. Długo błądziła, aż znowu zachciało jej się pić. Pochyliła się nad stawem, zastanawiając się, czy znajdzie tam sok pomarańczowy, ale to była woda, czysta, przejrzysta leśna woda o smaku roślin i kamieni, Dziewczynka napiła się ze swych dłoni. W tym momencie starsze dzieci uniosły szklanki i napiły się. Janeczka spłotła palce na kształt filiżanki.

- Dziewczynka siedziała nad stawem. Zapadał zmrok. Pochyliła się nad wodą, żeby zobaczyć, czy znajdzie sić, tam ryba, która powie jej, jak wyjść z lasu, ale ujrzała coś, czego się nie spodziewała. Była to twarz dziewczynki, patrząca prosto na nią. Twarz, jakiej nigdy wcześniej nie widziała. Ta nieznajoma dziewczynka uśmiechała się, Nie był to uśmiech

przyjazny, ale paskudny, a dziewczynka pomyślała, że tamta obca wyciągnie rękę z wody i wciągnie ją do stawu...

Dorota, przekonana, że to zbyt przerażająca opowieść na dobranoc, gwałtownie wciągnęła powietrze. Dzieci siedziały jednak jak skamieniałe.

- Cicho siedź, zamknij się - rzuciła Helena do Pawełka, który marudził na kolanach Alicji.

- Phyllis, tak miała na imię dziewczynka, jeszcze nigdy nie widziała tak przerażających oczu.

- Czy to Phyllis z mojej szkoły? - spytała Janeczka.

- Nie - powiedział Łukasz.

- Nie - powiedziała Helena.

Dawid przerwał opowiadanie. Najwyraźniej szukał natchnienia. Marszczył czoło, miał nieobecny wyraz twarzy, jakby doskwierał mu ból głowy. Harriet chciała krzyknąć; „Przestań, przestań! Przecież ty mówisz o mnie, to właśnie wobec mnie czujesz!”. Nie mogła uwierzyć, że Dawid tego nie dostrzega.

- Co się wtedy stało? - spytał Łukasz. - Co dokładnie się stało?

- Poczekajcie - powiedział Dawid. - Poczekajcie, moja zupa... - Zaczął jeść.

Ja wiem, co się stało - włączyła się Dorota zdecydowanym tonem. - Phyllis postanowiła natychmiast odejść od tego obrzydliwego stawu. Szybko pobiegła ciężką, aż wpadła na braciszka, który jej szukał. Trzymając się za ręce, wybiegli z lasu i bezpiecznie dotarli i li > domu.

- Właśnie to się stało - potwierdził Dawid. Uśmiechał się smutno, ale wyglądał na rozbawionego.

- I naprawdę właśnie to się stało, tato? - dopytywał ciągle zaniepokojony Łukasz.

- Absolutnie tak - odparł Dawid.

- Kim była ta dziewczynka w stawie, kim ona była? pytała Helena, patrząc to na ojca, to na matkę.

- Och, po prostu była zaczarowaną dziewczynką - powiedział swobodnie Dawid. - Nie mam pojęcia. Po prostu się zmaterializowała.

- Co to znaczy „zmaterializowała”? - spytał Łukasz, z trudem wymawiając nieznane słowo.

- Czas do łóżek - oznajmiła Dorota.

- Ale co to znaczy „zmaterializowała”? - nalegał Łukasz.
- Nie dostaliśmy budynku! - zawołała Janeczka.
- Nie ma budynku, są owoce - powiedziała Dorota.
- Co to znaczy „zmaterializowała”, tato? - nalegał zaniepokojony Łukasz.
- To znaczy, że coś, czego nie było, nagle się pojawia.
- Ale dlaczego, dlaczego? - zawodziła Helena.
- Na górę, dzieci - rozkazała Dorota.

Helena wzięła jabłko, Łukasz drugie, a Janeczka, z psotnym uśmiechem, chwyciła kromkę chleba z matczynej talerza. Jej nie zmartwiła opowieść Dawida.

Trójka dzieci hałaśliwie ruszyła na schody, a Pawełek, z buzią w podkówkę, patrzył za rodzeństwem w poczuciu odrzucenia.

Alicja szybko wstała z Pawełkiem na rękach i ruszyła za dziećmi ze słowami: „Kiedy byłam mała, nikt nie opowiadał mi bajek!”. Trudno było stwierdzić, czy Alicja się skarżyła, czy uważała, że lepiej na tym wyszła. Nagle na schodach pojawił się Łukasz.

- Czy wszyscy przyjadą na letnie wakacje?

Dawid spojrział z niepokojem na Harriet, potem odwrócił wzrok. Dorota nie spuszczała wzroku z córki.

- Tak - powiedziała Harriet słabym głosem. - Oczywiście.
- Powiedziała: „oczywiście”! - zawołał Łukasz w górę schodów.
- Będziesz krótko po porodzie - zauważyła Dorota.
- Decyzja należy do ciebie i Alicji - stwierdziła Harriet. - Jeśli uważacie, że nie dacie sobie rady, musicie powiedzieć.

- Wydaje mi się, że daję sobie radę - zauważyła Dorota kostycznie.

- Tak, wiem - zapewnił pospiesznie Dawid. - Jesteś cudowna.

- I nie wiecie, co byście beze mnie...

- Przestań - przerwał teściowej Dawid, a do Harriet powiedział: - Lepiej zaprosić wszystkich dopiero na Boże Narodzenie.

- Dzieci będą takie zawiedzione - powiedziała Harriet. Nie zabrzmiało to zdecydowanie, jak dawniej, ale głucho i obojętnie. Mąż i matka przyjrzeni się Harriet z uwagą; czuła, że obserwują ją z dystansu, bez sympatii.

- Cóż, może to dziecko urodzi się wcześniej - powiedziała posepnie. - Z pewnością tak

musi się stać. - W śmiechu Harriet dało się słyszeć ból. Nagle wstała z okrzykiem: „Muszę się ruszać, muszę!”, po czym rozpoczęła swoje bolesne, mozolne, wielogodzinne wędrowanie tam i z powrotem, w górę i na dół.

W ósmym miesiącu ciąży udała się do doktora Bretta z prośbą o wywołanie porodu.

Lekarz spojrział na Harriet krytycznie i powiedział:

- Sądziłem, że nie wierzysz w takie zabiegi.

- Nie wierzę, ale tym razem jest inaczej.

- Ja tego nie widzę.

- Dlatego, że nie chcesz zobaczyć. To nie ty nosisz tego... - Nie powiedziała „potwora”, żeby nie wchodzić w konflikt z lekarzem. Siłąc się na spokój, choć jej głos brzmiał gniewnie, oskarżycielsko, powiedziała: - Czy uważasz mnie za kobietę nierozsądną? Histeryczkę? Trudną? To prostu żalną histeryczkę?

- Powiedziałbym raczej, że jesteś całkowicie wyczerpana. Ciąże nigdy nie były dla ciebie łatwe, prawda? I czyżbyś zapomniała? Siedziałem tu z tobą podczas czterech ciąży, borykałaś się z najróżniejszymi problemami. Trzeba ci to zaliczyć na plus: ze wszystkim poradziłaś sobie znakomicie.

- Ale teraz to nie to samo. Nie pojmuję, jak możesz tego nie widzieć. Nie widzisz? - Harriet wypchnęła do przodu wznoszący się brzuch; czuła, że coś w nim wrzało.

Lekarz popatrzył na brzuch z powątpiewaniem, westchnął i wypisał kolejną receptę na środki uspokajające.

Nie, nie widział tego, czy raczej nie chciał zobaczyć. Ani lekarz, ani nikt inny nie chciał zobaczyć, jak bardzo nietypowa była ta sytuacja.

Spacerując, chodząc, biegając po wiejskich drogach, wyobrażała sobie, że bierze duży nóż kuchenny, rozcina brzuch, wyjmując dziecko - a kiedy w końcu popatrzą na siebie po tej długiej walce na oślep, co Harriet zobaczy?

Wkrótce, prawie o miesiąc za wcześnie, zaczęły się bóle. Porody Harriet zawsze przebiegały szybko. Dorota zadzwoniła do Dawida do Londynu i natychmiast zawiozła i orkę do szpitala. Harriet po raz pierwszy zażądała szpitala, czym zdziwiła wszystkich.

Kiedy znalazła się w szpitalu, szarpiący ból miał niespotykane wcześniej nasilenie. Dziecko najwyraźniej wyrывało się na świat. Harriet wiedziała, że jest posiniaczona; w środku musiała być jednym wielkim sińcem, o czym nikt nigdy się nie dowie...

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy Harriet podarowano zapomnienie.

- Dzięki Bogu, dzięki Bogu, nareszcie się skończyło! - wykrzyknęła. Usłyszała głos pielęgniarki:

- Ten to prawdziwy twardzielek, spójrzcie tylko. Potem jakaś kobieta powiedziała:

- Pani Lovatt, pani Lovatt, jest pani z nami? Proszę do nas wrócić! Jest tu pani mąż, kochanie. Ma pani zdrowego synka.

- Prawdziwy mały zapaśnik - zauważył doktor Brett.

- Urodził się, walcząc z całym światem.

Harriet uniosła się z trudem, bo dolną część ciała miała zbyt obolałą, żeby się ruszać. Podano jej dziecko. Całe jedenaście funtów. Żadne z poprzednich dzieci nie ważyło więcej niż siedem funtów. Chłopiec był muskularny, żółtawy, długi. Wydawało się, że usiłował stanąć, wpychając stopki w jej bok.

- Zabawny koleżka - powiedział Dawid z niechęcią. Nie był ładnym dzieckiem. W ogóle nie przypominał dziecka. Był przygarbiony, jakby kulił się w pozycji leżącej. Czoło biegło ukośnie od oczu do ciemienia. Włosy układały się w niezwykle wzór: od podwójnego ciemienia, gdzie zaczynał się zachodzący na czoło klin czy trójkąt, rosła gęsta, żółtawa szczecina, natomiast włosy po bokach i z tyłu rosły w dół. Chłopiec miał grube, ciężkie ręce o umięśnionych dłoniach. Otworzył oczy i spojrzał prosto w twarz matki. Były to skoncentrowane, zielonożółte oczy, podobne do bryłek kamienia mydlanego. Harriet czekała na wymianę spojrzeń ze stworzeniem, które, była pewna, próbowało ją skrzywdzić, ale między matką a dzieckiem nie przeskoczyła iskra rozpoznania. Serce Harriet skurczyło się z litości do syna: biedna bestyjka, rodzona matka tak go nie lubi... Usłyszała swój nerwowy głos, choć siliła się na śmiech:

- On jest jak troll, skrzat czy coś w tym rodzaju. - Utuliła syna na zgodę, on jednak był sztywny i ciężki.

- Daj spokój, Harriet - powiedział doktor Brett rozluźniony jej zachowaniem.

Przechodziłam to już czterokrotnie z tym cholernym doktorem Brettem i zawsze było cudownie, pomyślała I Harriet, a teraz zachowuje się jak dyrektor szkoły.

Harriet odsłoniła pierś i podała dziecku sutkę. Pielęgniarki, lekarz, matka i mąż Harriet przyglądali się z uśmiechem, do jakiego ta chwila zobowiązywała. Brakowało jednak atmosfery święta, dokonania, brakowało szampana; przeciwnie - we wszystkich dawało się wyczuć napięcie i niepokój. Po silnym odruchu ssącym twarde dziąsła zacisnęły się na sutce, aż Harriet się

skrzywiła. Dziecko spojrzało na nią i mocno ugryzło.

- Cóż - powiedziała Harriet, siląc się na śmiech i odsuwając dziecko.

- Spróbuj jeszcze raz - poradziła pielęgniarka. Chłopiec nie płakał. Harriet uniosła go i wzrokiem dała znak pielęgniarce, żeby go zabrała. Pielęgniarka, i ciskając usta z dezaprobatą, wzięła dziecko i położyła w łóżeczku. Odkąd się urodził, ani razu nie zapłakał, z wyjątkiem pierwszego ryku protestu, a może zdziwienia.

Do szpitala przyprowadzono czwórkę dzieci, żeby mogły zobaczyć nowego braciszka. Dwie kobiety, z którymi I Harriet dzieliła pokój, wstały z łóżek i przeszły ze swymi dziećmi do saloniku. Harriet nie chciała wstać z łóżka. Oznajmiła lekarzom i pielęgniarce, że potrzebuje czasu, żeby wewnętrzne sińce się wygoiły; powiedziała to niemal buntowniczym tonem, nonszalancko, obojętna na krytyczne spojrzenia personelu.

Dawid stał przy łóżku z małym Pawłem na rękach. I Harriet tęskniła do tego malusieńkiego dziecka, od którego tak wcześnie ją odłączono. Uwielbiała jego wygląd, runiczną łagodną twarzyczkę o niebieskich oczach - jak dzwoneczki, pomyślała - mięciutkie rączki i nóżki... mieli wrażenie, że przesuwa dłońmi po jego nóżkach i ujmuje stopki w dłonie. Prawdziwe dziecko, prawdziwe małe dziecko...

Trójka starszych dzieci przyglądała się nowemu przy przybyszowi, tak bardzo odmiennemu od nich; Harriet wy« dawało się, że noworodek jest z innej substancji. Po części dlatego, że wciąż żyły w niej wspomnienia o ciąży, ale po części z powodu bezwładnej, żółtej bryłowatości noworodka. Poza tym ta jego dziwna głowa, wysklepiona ukośnie nad łukami brwiowymi.

- Nazwiemy go Ben - powiedziała Harriet.

- Tak? - spytał Dawid.

- Tak, to imię do niego pasuje.

Łukasz stał po jednej stronie łóżeczka, Helena po drugiej. Wzięli noworodka za rączki i powiedzieli:

- Witaj, Ben.

- Witaj, Ben.

Ale dziecko na nich nie patrzyło.

Czteroletnia Janeczka ujęła stopkę noworodka w dłoni, potem w obie dłonie, ale chłopczyk energicznie ją kopnął.

Harriet przyłapała się na myśleniu: Chciałabym zobaczyć matkę, która z radością powitałaby tego... obcego.

Została w łóżku przez tydzień - do czasu, kiedy uznała, że da sobie radę - po czym wróciła z noworodkiem do domu.

W nocy, wsparta na poduszkach, siedziała na małżeńskim łóżu, karmiąc dziecko. Dawid się przyglądał.

Ben ssał tak mocno, że pierwszą pierś opróżnił w niespełną minutę. Kiedy pierś robiła się niemal pusta, zawsze zaciskał dziąsła, a Harriet musiała go odrywać. Wyglądało to tak, jakby pozbawiała syna piersi; słyszała, jak Dawid zaczyna inaczej oddychać. Ben ryczał z wściekłości, jak pijawka przysysał się do drugiej piersi i ssał z taką siłą, że czuła, jakby cała pierś znikła mu w gardle. Tym razem zostawiła go przy sutce, aż zacisnął dziąsła, wtedy odsunęła dziecko z okrzykiem.

- Jest nadzwyczajny - powiedział Dawid, udzielając Harriet wsparcia, którego potrzebowała.

- Tak, z całą pewnością nie jest zwyczajny.

- Ale wszystko z nim w porządku, jest tylko...

- Normalnym, zdrowym dzieckiem - dokończyła Harriet z goryczą, cytując lekarzy ze szpitala.

Dawid milczał. Nie radził sobie z jej gniewem i goryczą. Harriet trzymała Bena w powietrzu. Chłopiec wyrywał się, walczył i zanosił się typowym dla siebie krzykiem, ni to rykiem, ni to wyciem - żółknąc z wściekłości miast czerwienieć jak normalne rozgniewane dziecko.

Kiedy go podnosiła, żeby beknął, chłopiec niemal stawał w objęciach Harriet; słabła ze strachu na myśl, że ta siła leszcze tak niedawno znajdowała się w niej, a ona była zdana na jej łaskę. Całymi miesiącami wyrywał się na wolność, tak jak teraz walczył o niezależność.

Kiedy odkładała go do łóżeczka, a zawsze robiła to z radością, bo strasznie bolały ją ręce, chłopiec wrzeszczał z wściekłości, ale po chwili cichł. Nie spał, leżał czujnie; ' ale ciało pulsowało od silnych ruchów pięt i głowy, które tak dobrze znała: właśnie przez te ruchy czuła się rozrywana, kiedy w niej był.

Harriet wróciła do łóżka. Dawid wyciągnął rękę, żeby mogła położyć się obok niego, w objęciach, ale ona czuła się jak zdrajczyni, nieszczerze - mężowi nie spodobałyby się jej myśli.

Karmienie Bena wkrótce ją wyczerpało. Nie znaczy to wcale, że chłopiec nie kwitł, owszem kwitł. Od urodzenia przybrał na wadze dwa funty. Miał miesiąc, czyli gdyby przyszedł na świat w terminie, liczyłby sobie niespełna cały dzień.

Harriet bolały piersi. Wytwarzając więcej mleka niż kiedykolwiek, nabrzmiewały w dwie białe kule na długo przed kolejnym karmieniem. Mimo to Ben już głośno domagał się pokarmu, więc go karmiła, a on wypijał mleko do ostatniej kropli w dwie, trzy minuty. Czuła się tak, jakby mleko wyciągano z niej strumieniami. Ben zaczął coś nowego: podczas karmienia kilkakrotnie przerywał ssanie i mocno zaciskał dziąsła, aż Harriet krzyczała z bólu. Wydawało jej się, że małe zimne oczka patrzą na nią złowrogo.

- Przetawię go na butelkę - powiedziała do Doroty, która przyglądała się tej walce z takim samym wyrazem twarzy, z jakim, według Harriet, wszyscy patrzyli na Bena. Dorota zachowywała ciche skupienie; patrzyła na wnuka zafascynowana, niemal zahipnotyzowana, ale w jej wzroku była też odraza. I lęk?

Harriet spodziewała się, że matka zaprotestuje słowami: „Ależ on ma dopiero pięć tygodni!”, ale Dorota powiedziała tylko:

- Tak, musisz to zrobić, bo w przeciwnym razie się rozchorujesz.

Nieco później, widząc jak Ben wije się i wrzeszczy, zauważyła:

- Cała rodzina zjeżdża się w lecie. - Powiedziała to w nowy dla siebie sposób, jak gdyby wsłuchiwała się we własne słowa i obawiała się tego, co mogłaby powiedzieć. Harriet rozpoznała ten ton, ponieważ właśnie w ten sposób chciałyby mówić o wszystkim. Tak mówią ludzie, których myśli biegną sekretnymi torami, ludzie, którzy woleliby zachować myśli przed innymi w tajemnicy.

Tego samego dnia Dorota weszła do sypialni, gdzie Harriet karmiła Bena, i ujrzała, jak córka odrywa dziecko od posiniaczonych wokół sutek piersi.

- Zrób to. Zrób to teraz. Kupiłam butelki i mleko. Właśnie wygotowuję butelki.

- Tak, odstaw go od piersi - zgodził się natychmiast Dawid. Czwórkę dzieci Harriet karmiła piersią miesiącami i w domu praktycznie nie było butelek.

Dorośli, czyli Harriet i Dawid, Dorota i Alicja siedzieli przy dużym stole; dzieci poszły już do łóżek, a Harriet próbowała karmić Bena z butelki. Z kolanami podciągniętymi pod szyję opróżnił butelkę w mgnieniu oka, kurcząc przy tym i rozkurczając ciało, potem wyprostował się jak sprężyna. Na widok pustej butelki wydał ryk.

- Daj mu drugą - powiedziała Dorota i zabrała się do przygotowywania mleka.

- Co za apetyt - powiedziała Alicja. Bardzo się starała, ale na jej twarzy malował się lęk.

Ben opróżnił drugą butelkę, podtrzymując ją sobie piąstkami. Harriet prawie nie musiała jej dotykać.

- Mały Neandertalczyk - stwierdziła Harriet.

- Och, daj spokój, biedne dziecko - powiedział Dawid nieswojo.

- Boże, Dawidzie, raczej biedna Harriet - odparła.

- Dobrze, dobrze, tym razem geny wymyśliły coś niezwykłego.

- Ale co, oto jest pytanie - powiedziała Harriet. - Kim on jest?

Tamci troje nie odpowiedzieli, czy raczej swoim milczeniem powiedzieli, że woleliby się nie konfrontować z oczywistymi wnioskami.

- W porządku - powiedziała Harriet. - Powiedzmy, że ma zdrowy apetyt, jeśli to wszystkich uszczęśliwia.

Dorota odebrała wrywające się stworzenie z rąk Harriet, która osunęła się na krzesło wyczerpana. Kiedy Dorota poczuła nieporadne, nieprzejednane ciało, jej twarz zmieniła wyraz; odsunęła się tak, by wierzgające nóżki Bena nie mogły jej dosięgnąć.

Wkrótce Ben przyjmował dwa razy więcej pokarmu niż zalecano w jego wieku, czy na jego etapie: dziesięć butelek dziennie i więcej.

Dostał biegunki od mleka, więc Harriet zabrała go do doktora Brett.

- Dziecko karmione piersią nie powinno dostawać biegunek - powiedział lekarz.

- On nie jest karmiony piersią.

- To do ciebie niepodobne, Harriet! W jakim on jest wieku?

- Ma dwa miesiące - odparła Harriet, potem rozpięła sukienkę i pokazała piersi, które wciąż produkowały mleko, jakby odpowiadały na nienasycony apetyt Bena. Wokół sutek widniały czarne sińce.

Doktor Brett obejrzał biedne piersi w milczeniu, a Harriet popatrzyła na niego: na przyzwoitą, zatroskaną twarz lekarza, który stanął przed przerastającym go problemem.

- Niegrzeczny chłopczyk - przyznał lekarz, na co zaskoczona Harriet wybuchnęła śmiechem.

Doktor Brett poczerwieniał, na krótką chwilę spojrzął Harriet w oczy, przyjmując jej wymówkę, potem odwrócił wzrok.

- Potrzebna mi tylko recepta na lekarstwo przeciw bieguncce - powiedziała Harriet i dodała z rozmysłem, wpatrując się w lekarza i zmuszając go, by na nią spojrzeł: - Ostatecznie nie chcę zabić tej wrednej bestyjki.

Lekarz westchnął, zdjął okulary i przetarł je powoli. Marszczył czoło, ale nie z dezaprobaty wobec Harriet.

- Uczucie niechęci do własnego dziecka nie jest nienormalne. Obserwuję to stale. Niestety.

Harriet nie odpowiedziała, ale uśmiechała się niemiło, z czego zdawała sobie sprawę.

- Obejrzę go - powiedział lekarz.

Harriet wyjęła Bena z wózka i położyła na stole. Natychmiast odwrócił się na brzuch i spróbował unieść się na czworaki. Zanim ponownie opadł na brzuch, na chwilę mu się udało.

Harriet utkwiała wzrok w doktorze Bretcie, ten jednak odwrócił się do biurka, żeby wypisać receptę.

- Najwyraźniej nic mu nie dolega - oświadczył takim samym skonsternowanym, obraźliwym tonem, jaki Ben wywoływał w innych ludziach.

- Czy kiedykolwiek widziałeś, żeby dwumiesięczne dziecko zrobiło coś podobnego? - dopytywała się.

- Nie, muszę przyznać, że nie. Cóż, powiadom mnie, juk sobie radzisz.

Po rodzinie rozeszła się wiadomość, że nowe dziecko szczęśliwie się urodziło i wszystko jest w porządku. To znaczy: wszystko jest w porządku z Harriet. Krewni pisali i telefonowali, zapewniając, że cieszą się na letnie wakacje. Mówili: „Nie możemy się doczekać, kiedy zobaczymy nowe dziecko”. Pytali: „Czy Pawełek jest taki słodki, jak był?”. Zjechali się z całego kraju z winem i owocami. Najróżniejsi ludzie zabrali się z Alicją i Dorotą do robienia przetworów owocowych, dżemów i sosów. Dzieci bawiły się w ogrodzie, albo dorośli zabierali je na pikniki do lasu. Pawełek, zabawna przylepa, stale siedział komuś na kolanach, a jego śmiech rozbrzmiewał wszędzie: taka była jego prawdziwa natura, przyćmiona przez Bena i jego żądania.

Z powodu tłoku starsze dzieci umieszczono w jednym pokoju. Ben leżał już w łóżeczku o wysokich ściankach z deszczulek, gdzie podciągał się do pozycji stojącej, przewracał się, znowu się podciągał... Łóżeczko wstawiono do pokoju starszych dzieci w nadziei, że bliskość rodzeństwa wpłynie socjalizująco na Bena. Nadzieje okazały się jednak płonne. Ben nie zwracał uwagi na braci i siostry, nie reagował na ich zagadywania, płakał za to - czy raczej wył - tak

do donośnie, że Łukasz krzychał: „Och, zamknijże się!”, potem jednak i on wybuchł płaczem z powodu własnej nieżyczliwości. Helena, w takim wieku, że mogła już pielęgnować niemowlę, próbowała podnosić Bena, ale był za silny. Później wszystkie starsze dzieci umieszczono na strychu, gdzie mogły hałasować do woli, natomiast Ben wrócił do swego pokoju, „pokoju dziecinnego”, skąd dobiegały postękiwania, posapywania i ryki irytacji, kiedy próbował sił i padał.

Niemowlę oczywiście dawano do potrzymania każdemu, kto poprosił, ale przykro było patrzeć, jak twarze zmieniały się w zetknięciu się z tym zjawiskiem. Bena zawsze szybko oddawano. Pewnego dnia Harriet weszła do kuchni i usłyszała, jak jej siostra Sara mówi do kuzynki:

- Ciarki mnie przechodzą na widok tego Bena. On jest jak jakiś skrzat czy karzeł. Sto razy bardziej wolę biedną Amy.

Harriet ogarnęły wyrzuty sumienia: biedny Ben, którego nikt nie potrafił pokochać. Ona z pewnością nie! Nawet Dawid, ten dobry ojciec, prawie go nie dotykał. Wyjęła Bena z łóżeczka, tak bardzo przypominającego klatkę, położyła go na dużym łóżku i usiadła obok.

- Biedny Ben, biedny Ben - szczebiotała, głaszcząc syna. Ben chwycił ją oburącz za koszulę, podciągnął się i stanął Harriet na udzie. Twarde stopki zadawały jej ból. Usiłowała go przytulić, nakłonić, żeby złagodniał... Szybko zrezygnowała, odłożyła Bena do łóżeczka, czy klatki... zawył z irytacją, więc wyciągnęła ku niemu ręce, „Biedny Ben, drogi Ben”, chwycił matczyne dłonie, podciągnął się i stanął, stękając i rycząc triumfalnie. Miał cztery miesiące... Wyglądał jak gniewny, wrogi mały troll.

Codziennie, kiedy inne dzieci nie przeszkadzały, brała Bena na duże łóżko na pieszczoty i zabawy, jak to robiła dawniej z jego rodzeństwem. Ani razu nie uległ matczynej czułości. Opierał się, wrywał, walczył, wreszcie odwracał głowę i zamykał szczęki na kciuku Harriet. Nie robił tego jednak tak, jak zwykle dziecko: to nie był odruch ssący, który koi ból ząbkowania albo pozwala na poznawanie możliwości kryjących się w ustach, w języku: czuła, jak jej kość się ugina, widziała zimny, triumfalny uśmiech Bena.

- Nie załatwisz mnie, nie pozwolę ci na to - słyszała własny głos.

Przez pewien czas usilnie starała się zrobić z Bena zwyczajne dziecko. Brała go na dół do salonu, gdzie siedziała rodzina, wkładała do kojca. Obecność niemowlaka wywierała taki wpływ na ludzi, że zaczynali się rozchodzić. Czasem Harriet zasiadała do stołu z Benem na rękach, jak

to robiła z innymi dziećmi, okazał się jednak zbyt silny, by mogła go utrzymać.

Pomimo Bena letnie wakacje były cudowne. Znowu mieli pełne dwa miesiące wolnego. Znowu ojciec Dawida, który wpadł jak po ogień, dał im czek, bez którego by sobie nie poradzili.

- Mieszkać w tym domu to jak siedzieć w jakimś cholernym, wielkim budynku owocowym - powiedział James. - Bóg jeden wie, jak wy to robicie.

Później, kiedy Harriet wracała myślami do tych wakacji, pamiętała sposób, w jaki wszyscy patrzyli na Bena. Po długich, zamyślonych spojrzaniach, w których wyczuwało się zaskoczenie, nawet niepokój, przychodził lęk, chociaż wszyscy usiłowali go ukryć. Harriet odczuwała narastające przerażenie. Ben najwyraźniej nic sobie z tego wszystkiego nie robił; chyba nawet niczego nie zauważał. Trudno było stwierdzić, co myśli o innych ludziach.

Pewnej nocy, przed zaśnięciem, Harriet leżała w ramionach Dawida. Jak zwykle omawiali miniony dzień, a ona, pod wpływem myśli o lecie, powiedziała:

- Czy wiesz, do czego ten dom się nadaje? Dlaczego ludzie tu przyjeżdżają? Chcą się dobrze bawić, to wszystko.

Dawid był zdziwiony, a nawet, jak wyczula, zszokowany.

- Ale co jeszcze możemy zrobić? - spytał.

- Nie wiem - odparła Harriet bezradnie. Potem przytuliła się do męża i wybuchnęła płaczem. Jeszcze nie zaczęli się na powrót kochać. Nigdy wcześniej tak nie było. Kochanie się podczas ciąży i wkrótce po porodzie nigdy nie stanowiło problemu. Teraz jednak myśleli: To stworzenie przyszło na świat, kiedy zachowywaliśmy najwyższą ostrożność - co będzie, jeśli urodzi się drugi podobny? Oboje bowiem czuli - skrycie, ponieważ wstydzieli się swoich myśli o Benie - że urodził się dzięki własnej sile woli, że dokonał inwazji na ich zwyczajność, bezbronną wobec niego i jemu podobnych. Jednak powstrzymywanie się od seksu nie tylko wywoływało napięcie u Dawida i Harriet; stanowiło też barierę, ponieważ stale przypominało o tym, co im zagrażało... tak właśnie czuli.

Wtedy wydarzyło się coś złego. Wkrótce po tym, jak rodzina się rozjechała i rozpoczął się rok szkolny, Paweł poszedł sam do pokoju Bena. Niemowlak najbardziej fascynował właśnie Pawła. Harriet odwozła starsze dzieci do szkoły, a Dorota i Alicja krzątały się po kuchni, kiedy usłyszały krzyki. Pobiegly na górę i ujrzały, że Paweł wsunął rękę przez żerdki, Ben złapał go i przyciągnął, rozmyślnie wykręcając rękę Pawła do tyłu. Kobiety uwolniły chłopca. Nie zawracały sobie głowy besztaniem Bena, który piał z zachwytu. Ręka Pawła była poważnie

nadwerężona.

Nikt nie miał ochoty mówić dzieciom: „Uważajcie na Bena”, ale po zejściu z ręką Pawła nie było takiej potrzeby. Wieczorem dzieci dowiedziały się, co się stało, ale nie patrzyły ani na rodziców, ani na Dorotę i Alicję. Nie patrzyły na siebie. Stały w milczeniu, ze spuszczonej głowami. Dorośli pojęli, że dzieci wyrobiły już sobie zdanie na temat Bena: rozmawiały o nim i wiedziały, co o nim myśleć. Łukasz, Helena i Janeczka poszli na górę w milczeniu, a dla rodziców była to ciężka chwila.

- Biedne maleństwa - powiedziała Alicja, patrząc w ślad za dziećmi.

- Jaka szkoda - dodała Dorota.

Harriet czuła, że te dwie starsze, twarde, zaprawione w bojach kobiety potępiają ją na podstawie swego rozległego życiowego doświadczenia. Zerknęła na Dawida i zobaczyła, że mąż czuje to samo. Potępienie, krytycyzm i niechęć: Ben wywoływał te uczucia, wydobywał je z ludzi na światło dzienne...

Nazajutrz po zejściu Alicja oznajmiła, że nie czuje się już potrzebna w tym domu i wraca do swego życia, przekonana, że Dorota sobie poradzi. Ostatecznie Janeczka chodziła już do szkoły. Janeczka miała pójść do szkoły w pełnym wymiarze godzin dopiero w przyszłym roku, ale posłali ją wcześniej. Właśnie z powodu Bena, chociaż nikt tego nie powiedział. Alicja odeszła, nie sugerując, że robi to przez Bena. Powiedziała za to Dorocie, która z kolei powtórzyła Dawidowi i Harriet, że Ben ją przeraża. Musi być odmieńcem. Dorota, zawsze rozumna i spokojna, wyśmiała Alicję.

- Tak, wyśmiałam ją - opowiadała, a po chwili dodała posepnie: - Ale właściwie, dlaczego?

Dawid i Harriet naradzali się przyciszonymi, pełnymi niedowierzania i winy głosami, jakie Ben narzucał ludziom. Niemowlak nie miał jeszcze sześciu miesięcy, a zanosilo się na to, że zniszczy ich życie rodzinne. Już je niszczył. Musieli pilnować, żeby znajdował się w swoim pokoju w trakcie posiłków i kiedy dzieci były na dole z dorosłymi. Krótko mówiąc, podczas życia rodzinnego.

Ben przebywał teraz niemal stale u siebie w pokoju, niczym więzień. W wieku dziewięciu miesięcy wyrósł z łóżeczka: Harriet przyłapała go w chwili, gdy miał wypaść. Do pokoju wstawiono zwykłe, małe łóżko. Ben chodził bez trudu, przytrzymując się ścian albo krzesła. Nigdy nie raczkował, od razu stanął na nogach. Po podłodze walały się zabawki, czy raczej ich

odłamki. Ben nie bawił się zabawkami, ale tłukł nimi o podłogę lub ściany tak długo, aż pękały. W dniu, kiedy stanął o własnych siłach, bez podpierania się, wydał ryk triumfu. Wszystkie dzieci, gdy dokonywały tego wyczynu, śmiały się, chichotały, pragnęły być kochane, podziwiane, chwalone. Z tym chłopcem było inaczej. Ben triumfował zimno, zataczając się po pokoju, z oczami błyszczącymi od zajadłej przyjemności. Całkowicie ignorował przy tym matkę. Harriet często się zastanawiała, co widział, kiedy na nią patrzył. Nic w dotyku czy spojrzeniu chłopca nie mówiło: „To jest moja matka”.

Pewnego ranka coś wyciągnęło Harriet z łóżka do dziecinnego pokoju, gdzie zobaczyła Bena balansującego na wysokim parapecie okna. Bóg jeden wie, jak chłopcu udało się tam wdrapać! Okno było otwarte. Jeszcze chwila i by wypadł. Jaka szkoda, że weszłam do pokoju, pomyślała Harriet i nie poczuła oburzenia z powodu tych myśli. Okno okratowano, a Ben stał, kurczowo wczepiony w grube pręty, szarpał nimi, wyglądając na świat i wydając ochryple, donośne okrzyki. Przez całe święta Bożego Narodzenia trzymano go w tym pokoju. To było niezwykle, że ludzie, którzy pytali - ostrożnie - „Jak się miewa Ben?” i słyszeli: „Och, wszystko w porządku”, nie pytali już więcej. Czasami gromki okrzyk Bena dobiegał aż na dół, uciszając rozmowę. Potem na czołach gości pojawiały się zmarszczki, których Harriet bała się, a jednocześnie na nie czekała: wiedziała, że maskują komentarze lub myśli.

Dom nie był już taki jak dawniej; wszystkim udzieliło się napięcie i zmęczenie. Harriet wiedziała, że pod jej nieobecność ludzie zaglądali czasem do Bena z lękliwej, skrzępowanej ciekawości. Po ich twarzach poznawała, kiedy go widzieli. Jakby był zbrodniarzem!, wściekała się Harriet. Stanowczo zbyt wiele czasu trawiła na cichy gniew, ale nie mogła się uspokoić. Uważała, że nawet Dawid ją potępił. Powiedziała do niego:

- W dawnych czasach, w społeczeństwach prymitywnych, chyba tak właśnie traktowano kobietę, która urodziła odmieńca. Tak jakby to ona ponosiła winę. Ale przecież my mamy być cywilizowani!

- Ty wszystko wyolbrzymiasz - odparł Dawid cierpliwym, ostrożnym tonem, jaki ostatnio przyjmował w rozmowach z żoną.

- To doskonałe określenie tej sytuacji! Gratuluje! Wyolbrzymiam!

- Mój Boże, Harriet - westchnął Dawid bezradnie. - Nie róbmy tego. Jeśli nie będziemy się trzymać razem...

Podczas świąt wielkanocnych licealistka Bridget, która wróciła sprawdzić, czy cudowne

królestwo codziennego życia nadal istnieje, zapytała:

- Co mu jest? Czy on jest mongolem?

- Czy ma zespół Downa - poprawiła Harriet. - Dziś już nikt nie używa określenia „mongol”. Ale nie, nie ma.

- W takim razie, co z nim jest nie tak?

- Zupełnie nic - odparła Harriet wyniośle. - Jak sama widzisz.

Bridget wyjechała i nigdy więcej nie wróciła.

Znowu letnie wakacje. Był rok 1975. Przyjechało mniej gości. Niektórzy napisali lub zadzwonili z wiadomością, że nie stać ich na pociąg czy benzynę.

- Każda wymówka jest lepsza niż żadna - zauważyła Dorota.

- Ale ludziom krucho się wiedzie - zaproponował Dawid.

- Dotychczas nie wiodło im się tak krucho, by nie mogli tu przyjechać i żyć na twój koszt przez kilka tygodni.

Ben miał ponad rok. Nie powiedział jeszcze ani słowa, ale pod innymi względami był normalny. Trudno było utrzymać go w pokoju. Bawiące się w ogrodzie dzieci słyszały jego ochryple, gniewne krzyki i widziały, jak stoi na parapecie, próbując rozewrzeć kraty.

Ben opuścił więc swoje małe więzienie i dołączył do dzieci na dole. Najwyraźniej wiedział, że powinien być taki jak one. Stojąc ze spuszczoną głową, widział, jak wszyscy rozmawiają, śmieją się, siedzą przy dużym stole albo siedzą w salonie pogrążeni w rozmowie, podczas gdy dzieci ganiały tam i z powrotem. Ben zerkał to na jedną twarz, to na drugą: człowiek, na którego chłopczyk patrzył, zdawał sobie sprawę z tego uporczywego spojrzenia i milkł albo odwracał się plecami lub bokiem, żeby nie musiał patrzeć na Bena. Chłopczyk samą swoją obecnością umiał uciszyć pokój pełen ludzi albo skłonić ich do rozejścia się: opuszczali pomieszczenie pod różnymi pretekstami.

Pod koniec wakacji ktoś przyjechał z psem, terierem. Ben wprost nie mógł się od niego oderwać. Nie odstępował go na krok. Nie głaskał go, nie pieścił, tylko mu się przyglądał. Pewnego ranka, kiedy Harriet zeszła na dół szykować śniadanie dla dzieci, pies leżał martwy na kuchennej podłodze. Czyżby miał zawał? Pełna podejrzeń, od których zebrało się jej na mdłości, pobiegła na górę sprawdzić, czy Ben jest w swoim pokoju: kuczał na łóżku, a kiedy weszła, podniósł wzrok i zaśmiał się, w typowy dla siebie, bezgłośny sposób. Był to nie tyle śmiech, co wyszczerzenie zębów. Ben otworzył sobie drzwi, po cichu minął śpiących rodziców, zszedł po

schodach, znalazł psa, zabił go, potem cicho wrócił do swego pokoju i zamknął za sobą drzwi... wszystko o własnych siłach! Harriet zamknęła Bena w pokoju. Skoro mógł zabić psa, to dlaczego nie dziecko?

Kiedy Harriet ponownie zeszła na dół, dzieci gromadziły się wokół martwego psa. Po chwili zeszli się też dorośli, i było jasne, co myślą.

Oczywiście nie było możliwe, żeby małe dziecko zabiło energicznego psa. Oficjalnie śmierć teriera pozostała tajemnicą; weterynarz stwierdził, że zwierzę zostało uduszone. Cała sprawa z psem zepsuła resztę wakacji, a goście wcześniej porozjeżdżali się do domów.

- Zastanowią się dwa razy, zanim znów tu przyjadą - powiedziała Dorota.

Trzy miesiące później Pan McGregor, stary szary kot, został zabity w ten sam sposób. Zawsze bał się Bena i trzymał się od niego z daleka. Mimo to Ben musiał się do niego podkraść, albo zaskoczył kota we śnie.

Na Gwiazdkę dom świecił pustkami.

To był najgorszy rok w życiu Harriet; nie mogła nawet martwić się tym, że ludzie ich unikają. Każdy dzień stanowił jeden długi koszmar. Po przebudzeniu nie mogła uwierzyć, że zdoła dotrzeć do wieczora. Ben był stale na nogach, nie można go było spuszczać z oczu. Sypiał bardzo niewiele. Przez większą część nocy stał na parapecie, wyglądając na ogród, a kiedy Harriet zaglądała do pokoju, odwracał się i posyłał matce powłóczyście, obce spojrzenie, od którego ciarki chodziły po krzyżu: w półmroku pokoju naprawdę wyglądał jak skulony mały troll czy skrzat. Kiedy w ciągu dnia zamykano go w pokoju, cały dom rozbrzmiewał od wrzasków, wszyscy bali się, że przyjedzie policja. Nieoczekiwanie, zdaniem Harriet bez żadnego powodu, chłopiec wybiegał do ogrodu, a stamtąd przez bramę na ulicę. Pewnego dnia goniła go przez milę czy więcej, widząc tylko przysadzistą sylwetkę przebiegającą na światłach, ignorującą trąbiące samochody i wołających ostrzegawczo ludzi. Na wpół przytomna Harriet łkała, dyszała, za wszelką cenę pragnęła go dogonić, zanim stanie się coś strasznego, ale jednocześnie modliła się: Och, tak, przejedźcie go, proszę... Tuż przed główną szosą dogoniła i z całych sił chwyciła szarpiące się dziecko. Chłopczyk pluł i syczał, wrywając się matce jak potwór morski. Harriet przywołała przejeżdżającą taksówkę, wepchnęła dziecko do środka i wsiadła za nim, stale trzymając je mocno za rękę, która, jak się zdawało, lada chwila miała się złamać od gwałtownych ruchów.

Cóż mogła począć? Ponownie udała się do doktora Brett, który zbadał Bena i

oświadczył, że pod względem fizycznym nic mu nie dolega.

Harriet opisywała zachowanie syna, lekarz słuchał.

Niekiedy na twarzy lekarza, który ze spuszczonego wzrokiem bawił się ołówkami, pojawiał się wyraz dobrze kontrolowanego niedowierzania.

- Możesz spytać Dawida, spytaj moją matkę - powiedziała Harriet.

- Ben jest nadpobudliwym dzieckiem, przypuszczam, że tak się je dzisiaj określa - stwierdził staroświecki doktor Brett. Harriet chodziła do niego, ponieważ był staroświecki.

W końcu spojrzął na Harriet, nie unikając jej wzroku.

- Czego ode mnie oczekujesz, Harriet? Że otępię go lekami? Cóż, jestem temu przeciwny.

Tak, tak, tak, właśnie tego chcę!, łkała bezgłośnie Harriet. Ale powiedziała:

- Nie, oczywiście, że nie.

- Jak na osiemnaście miesięcy, fizycznie jest normalny. Oczywiście jest bardzo silny i aktywny, ale zawsze taki był. Twierdzisz, że nie mówi. Przecież nie ma w tym nic niezwykłego. Czy Helena nie zaczęła mówić późno? Wydaje mi się, że tak.

- Owszem - potwierdziła Harriet.

Zabrała Bena do domu. Teraz co noc zamykano go w pokoju; drzwi zabezpieczono ciężkimi sztabami. Każdą sekundę życia na jawie poświęcał na obserwację. Harriet pilnowała Bena, a jej matka zajmowała się całą resztą.

- Jaki jest sens w dziękowaniu ci, Doroto? - spytał Dawid. - Wygląda na to, że wszystko wyszło już daleko poza „dziękuję”.

- Wszystko wyszło już daleko poza. Kropka - sprostowała Dorota.

Harriet wychudła, miała zaczerwienione oczy. Znowu wybuchała płaczem z byle powodu. Dzieci trzymały się od niej z daleka. Taktownie? Bały się Harriet? Dorota zaproponowała, że w sierpniu zostanie przez tydzień z Benem, żeby rodzina mogła gdzieś wyjechać.

Zazwyczaj ani Harriet, ani Dawid nie chcieliby nigdzie jechać, bo kochali swój dom. Poza tym, co z rodziną zjeżdżającą się na lato?

- Nie zauważyłam specjalnego pośpiechu w rezerwowaniu miejsc - stwierdziła Dorota.

Pojechali do Francji samochodem. Dla Harriet było to samo szczęście: czuła się tak, jakby odzyskała własne dzieci. Nie mogła się nimi nacieszyć, i z wzajemnością. Paweł, dziecko, którego Ben ją pozbawił, cudny, czarowny trzylatek, znowu był jej synkiem. Ciągłe stanowili rodzinę! Szczęście... żadne z nich prawie nie mogło uwierzyć, że Ben odebrał im tak wiele.

Kiedy wrócili do domu, Dorota była bardzo zmęczona, miała pokaźny siniak na przedramieniu i drugi na policzku. Nie powiedziała, co się stało. Kiedy jednak dzieci położyły się spać, Dorota oznajmiła Harriet i Dawidowi:

- Muszę porozmawiać... nie, siadajcie i słuchajcie. Usiedli z nią przy kuchennym stole.
- Spójrzcie prawdzie w oczy: Bena trzeba oddać do zakładu.
- Ależ on jest normalny - odparła Harriet posepnie. - Tak twierdzi lekarz.
- Może być normalny jak na to, kim jest. Nie jest jednak normalny jak na to, kim my jesteśmy.

- Jaki zakład by go przyjął?

- Coś musi się znaleźć - powiedziała Dorota i wybuchnęła płaczem.

Nastał okres, kiedy Harriet i Dawid noc w noc rozmawiali o tym, co można zrobić. Znowu się kochali, ale nie było jak dawniej.

- Tak właśnie musiały się czuć kobiety przed pojawieniem się środków antykoncepcyjnych - powiedziała Harriet. - Przerażone. Czekają na miesiączkę, a kiedy przychodziła, oznaczała odroczenie na miesiąc. Nie bały się jednak, że wydadzą na świat trolla.

Rozmawiając, nasłuchiwali odgłosów z „pokoju dziecinnego” - choć nigdy nie wypowiadali tych słów, bo sprawiały ból. Co takiego robił Ben, do czego, ich zdaniem, nie był zdolny? Rozginał ciężkie stalowe sztaby?

- Problem w tym, że przyzwyczajasz się do piekła - mówiła Harriet. - Po jednym dniu spędzonym z Benem czuję się tak, jakby nie istniało nic prócz niego. Nagle przyłapuję się na tym, że od wielu godzin nie pamiętam o pozostałych dzieciach. Wczoraj zapomniałam o ich kolacji. Dorota poszła do kina, a ja zeszłam na dół i znalazłam Helenę szykującą dla nich kolację.

- Nic im się nie stało.

- Ona ma osiem lat.

Po tygodniu we Francji, który przypominał jej o tym, czym naprawdę było, czym mogło być życie rodzinne, Harriet ślubowała, że więcej go nie utraci. Ponownie zwracała się cicho do Bena:

- Nie pozwolę ci nas zniszczyć, nie zniszczysz nas... Oczekiwała kolejnej prawdziwej Gwiazdki; pisała i telefonowała do wszystkich. Pamiętała, by dodać, że z Benem jest „ostatnio znacznie lepiej”.

Sara spytała, czy może przywieźć Amy. Oznaczało to, że słyszała - podobnie jak wszyscy

- o psie i kocie.

- Wszystko będzie dobrze, jeśli dopilnujemy, żeby nie zostawiać Amy sam na sam z Benem - odparła Harriet, a Sara odpowiedziała po dłuższym milczeniu:

- Mój Boże, Harriet, dostałyśmy marne karty, co?

- Chyba tak - odparła Harriet, ale nie godziła się na rolę ofiary losu. Sara, owszem; z jej problemami małżeńskimi, z mongoidalnym dzieckiem - owszem. Ale ona, Harriet, na tym samym wózku?

Powiedziała do swoich dzieci:

- Proszę, opiekujcie się Amy. Nigdy nie zostawiajcie jej samej z Benem.

- Czy on skrzywdziłby Amy tak, jak skrzywdził Pana McGregora? - spytała Janeczka.

- On zabił Pana McGregora - powiedział gwałtownie Łukasz. - On go zabił.

- I biednego psa - dodała Helena. Dzieci oskarżały Harriet.

- Owszem, mógłby - powiedziała Harriet. - Dlatego nie możemy spuszczać Amy z oczu.

Dzieci, jak to miały ostatnio w zwyczaju, patrzyły po sobie w cichym porozumieniu, wykluczając matkę. Rozeszły się, nie patrząc na Harriet.

Boże Narodzenie, mimo mniejszej liczby gości, udało się znakomicie. Panował gwar i świąteczny nastrój, ale Harriet nie mogła się doczekać końca. Dogłądanie Bena, dogłądanie będącej centrum wszystkiego Amy wiązało się z ogromnym napięciem. Dziewczynka miała za dużą głowę i zbyt przysadziste ciało, ale przepelniała ją miłość, nieustannie rozdawała całusy i wszyscy ją uwielbiali. Helena, która dawniej pragnęła zrobić z Bena maskotkę, teraz mogła pokochać Amy. Ben przyglądał się temu w milczeniu, a Harriet nie potrafiła odczytać wyrazu zimnych żółtozielonych oczu. Ale przecież nigdy tego nie potrafiła! Czasem odnosiła wrażenie, że trawi życie na próbach odgadnięcia, co Ben czuje, co myśli. Amy, która oczekiwała, że wszyscy będą ją kochali, podchodziła do Bena, chichocząc, śmiejąc się, z otwartymi ramionami. To dotknięte chorobą dziecko, dwa razy starsze, ale zdawać by się mogło dwa razy młodsze od Bena, zawsze promieniało uczuciem, ale teraz nagle milkło; z posmutniałą twarzą dziewczynka cofała się, wpatrzona w Bena. Dokładnie tak jak biedny kot, Pan McGregor. Potem Amy zaczęła na widok Bena wybuchać płaczem. Ben nie odrywał od niej wzroku, od tego drugiego chorego dziecka, uwielbianego przez wszystkich domowników. Ale czy wiedział, że jest chory? Czy rzeczywiście był chory? Kim on był?

Boże Narodzenie dobiegło końca; Ben miał dwa lata i kilka miesięcy. Pawła posłano do

małego przedszkola na tej samej ulicy, żeby odizolować go od Bena. Paweł, radosne i przyjaźnie usposobione dziecko, stawał się nerwowy i rozdrażniony. Miewał napady płaczu lub wściekłości, rzucał się z krzykiem na podłogę albo tłukł po kolanach Harriet, usiłując zwrócić na siebie uwagę matki, w całości poświęcaną Benowi.

Dorota pojechała odwiedzić Sarę i jej rodzinę.

W ciągu dnia Hanie zostawała sama z Benem. Próbowwała spędzać z nim czas tak, jak z innymi dziećmi. Siadała na podłodze z klockami i nadającymi się do popychania zabawkami. Pokazywała mu kolorowe obrazki. Śpiewała rymowanki. Najwyraźniej jednak Ben nie miał kontaktu z zabawkami ani klockami. Siedział pośród jasnych przedmiotów, stawiał jeden klocek na drugim i patrzył na Harriet, by sprawdzić, czy to właśnie miał zrobić. Intensywnie wpatrywał się w pokazywane mu obrazki, usiłując rozszyfrować ich język. Nigdy nie siadał Harriet na kolanach, ale kuczał przy niej, a gdy mówiła: „To jest ptak, Ben, popatrz, tak jak tamten ptak na drzewie. A to jest kwiat”, wtedy przyglądał się, i odwracał na pięcie. Problem najwyraźniej nie leżał w tym, że nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób jeden klocek pasuje do drugiego; raczej nie umiał uchwycić znaczenia tego wszystkiego, kwiatu ani ptaka. Może był zbyt rozwinięty na takie zabawy? Czasami Harriet przypuszczała, że tak. Na widok dzieciennych obrazków wyszedł do ogrodu, przyczał się na trawniku, szybko podkradł się do drozda i o mały włos go nie schwytał. Pozrywał pierwiosnki z łodyżek i stanął, z kwiatami w garści, przyglądając się im z napięciem. Potem zgniótł kwiatki w silnych piąstkach i pozwolił im opaść na ziemię. Odwróciwszy głowę, napotkał wzrok Harriet: chyba myślał, że matka chce, żeby coś zrobił, ale co? Spojrzał na wiosenne kwiaty, popatrzył na kosa na gałęzi, potem powoli wrócił do domu.

Pewnego dnia przemówił. Nieoczekiwanie. Nie powiedział „mama” czy „tata”, nie wymówił własnego imienia.

- Chcę ciasto - powiedział.

Początkowo Harriet nie zauważyła nawet, że Ben mówi. Potem dotarło to do niej i powiedziała o tym wszystkim.

- Ben mówi. Buduje zdania.

Dzieci, jak to miały w zwyczaju, zachęcały brata: „Bardzo dobrze, Ben. Bystry Ben!”, on jednak nie zwracał uwagi na rodzeństwo. Od tej pory zaczął komunikować swoje potrzeby. „Chcę to”. „Daj mi to”. „Iść na spacer”, mówił ciężkim, niepewnym głosem, każde słowo wymawiając oddzielnie, jakby jego mózg był składem idei i przedmiotów, które chłopczyk

musiał po kolei rozpoznawać.

Dzieci odczuły ulgę, kiedy okazało się, że Ben mówi normalnie. „Witaj, Ben”, pozdrowiało go jedno z rodzeństwa. „Witaj”, odpowiadał Ben, starannie oddając to, co otrzymał.

- Jak się masz, Ben? - spytała Helena.

- Jak się masz? - odpowiedział.

- Nie - poprawiła go siostra. - Teraz musisz powiedzieć: „Dziękuję, czuję się doskonale”, albo: „Wszystko w porządku”.

Ben zastanawiał się nad tym problemem. Wreszcie powiedział nieporadnie:

- Czuję się doskonale.

Nieustannie obserwował dzieci, zwłaszcza Łukasza i Helenę. Patrzył, jak się poruszają, jak wstają; naśladował ich sposób jedzenia. Zrozumiał, że ta dwójka starszych dzieci jest pod względem społecznym bardziej rozwinięta niż Janeczka; Pawła ignorował całkowicie. Kiedy dzieci oglądały telewizję, kuczał obok, wodził wzrokiem od ekranu do ich twarzy, żeby poznać, jakie reakcje są stosowne. Jeśli rodzeństwo się śmiało, po chwili Ben wybuchał głośnym, szorstkim, nienaturalnie brzmiącym śmiechem. Wyglądało na to, że naturalnym okazywaniem rozbawienia jest dla Bena wrogie szczyrzenie zębów. Kiedy dzieci milkły i nieruchomiały w skupieniu z powodu jakiejś ekscytującej sceny, Ben napinał mięśnie tak jak bracia i siostry; na pozór pochłaniał go ekran telewizora, ale w istocie nie spuszczał wzroku z rodzeństwa.

W sumie Ben nie przysparzał już tylu kłopotów, co kiedyś. Cóż, wszystkie dzieci są najtrudniejsze przez mniej więcej rok od chwili, gdy staną na nogach, myślała Harriet. Nie mają za grosz instynktu samozachowawczego, za grosz poczucia zagrożenia: rzucają się z łóżek, z krzeseł, skaczą w powietrze, wybiegają na szosy, bez przerwy trzeba ich pilnować... Jednocześnie, dodawała Harriet, właśnie w tym okresie dzieci są najbardziej urocze, rozkoszne, rozbijają słodkie i zabawne. Potem stopniowo stają się coraz rozsądniejsze, a życie prostsze.

Życie stało się prostsze, ale Dorota uzmysłowiła córce, że tylko ona tak to widzi.

Dorota wróciła do domu po kilkutygodniowej „przerwie”, jak ją określała, a Harriet widziała, że matka przygotowuje się do „prawdziwej rozmowy”.

- Powiedz, dziewczyno, czy uważasz, że się wtrącam? Że udzielam ci całej masy zbędnych rad?

Było przedpołudnie. Matka z córką piły kawę przy dużym stole. Ben, jak zwykle, znajdował się w zasięgu ich wzroku. Dorota starała się, by jej słowa brzmiały żartobliwie, ale

Hanie czuła się zagrożona. Szczere, rumiane policzki matki pojaśniały z zakłopotania, w niebieskich oczach krył się niepokój.

- Nie - powiedziała Harriet. - Nie wtrącasz się. Nie udzielasz.

- No, to powiem, co mi leży na sercu.

Musiały jednak przerwać rozmowę. Ben zaczął z całej siły walić kamieniem w metalową tacę. Hałas był potworny, ale kobiety odczekały, aż Ben skończy: gdyby mu przerwały, wpadłby w szał, syczałby i pluł.

- Masz pięcioro dzieci - mówiła Dorota. - Nie jedno. Czy zdajesz sobie sprawę, że podczas moich pobytów tutaj jestem jak matka dla czwórki pozostałych? Nie, ty tego nie widzisz, tak bardzo cię pochłonał...

Ben, ogarnięty euforią sukcesu, znowu grzmotnął kamieniem w tacę. Ktoś mógłby sądzić, że chłopczyk wierzy, że wykuwa coś z metalu: bez trudu można było go sobie wyobrazić w głębokich kopalniach z innymi podobnymi do niego... Matka i córka znowu odczekały, aż hałas ustanie.

- To nie jest w porządku - powiedziała Dorota, a Harriet przypomniała sobie, jak matczyne „To nie w porządku” kierowało jej dzieciństwem.

- Wyjeżdżam - oznajmiła matka. - Już tak dalej nie mogę, bo się rozchoruję.

Dorota była faktycznie dość szczupła, nawet wychudzona. Tak, pomyślała Harriet, jak zwykle w poczuciu winy, powinnam była to zauważyć.

- Poza tym masz męża - ciągnęła Dorota, najwyraźniej nie wiedząc, że wbija córce nóż w serce. - Wiesz, Harriet, on jest bardzo dobry. Nie mam pojęcia, jak to znosi.

Na Boże Narodzenie po trzecich urodzinach Bena goście tylko częściowo wypełnili dom. Jeden z kuzynów Dawida powiedział kiedyś: „Zainspirowałaś mnie, Harriet! W końcu i ja mam swój dom. Nie tak duży jak twój, ale to ładny domek”. Część rodziny pojechała właśnie do niego, ale pozostali oznajmili, że przyjadą. Harriet zauważyła, że dla tych ludzi przyjazd stał się czymś ważnym. To byli bliscy krewni.

Ponownie przywieziono zwierzaka. Tym razem był to spory pies, wesoły, kipiący życiem kundel - przyjaciel dzieci Sary, zwłaszcza Amy. Kochały go oczywiście wszystkie dzieci, ale najbardziej Paweł, a Harriet serce krwawiło, bo nie mogli trzymać w domu psa ani kota. Pomyślała nawet: Może teraz Ben jest rozsądniejszy... Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Widziała, że duży pies najwyraźniej wie, że Amy, kochające dziecko w łagodnym ciele,

potrzebuje czułości: specjalnie dla niej tonował swoją żywiowość. Amy siadała obok psa, obejmując go za szyję, a kiedy postąpiła niezdarnie, podnosił pysk i delikatnie odsuwał dziewczynkę albo warczał cicho, co znaczyło: „Uważaj”. Sara mówiła, że pies odnosi się do Amy jak opiekunka.

- Zupełnie jak Nana w Piotrusiu Panu - mówiły dzieci. Kiedy jednak w pokoju znajdował się Ben, pies obserwował go czujnie i szedł do kąta, gdzie kładł się z głową na łapach, cały zeszywniały z napięcia. Pewnego ranka, kiedy ludzie siedzieli przy śniadaniu, Harriet odwróciła akurat głowę i ujrzała, że pies śpi, a Ben skrada się ku niemu cicho, z wyciągniętymi przed siebie rękoma...

- Ben! - zawołała ostro Harriet. Zobaczyła, jak zimne oczy zwracają się ku niej, dostrzegła błysk czystej złości.

Zaalarmowany pies dźwignął się z ziemi ze zjeżoną sierścią. Zawył niespokojnie, potem przeszedł do części pokoju, gdzie byli wszyscy, i położył się pod stołem.

Wszyscy widzieli tę scenę, siedzieli w milczeniu, podczas gdy Ben podszedł do Doroty i powiedział:

- Chcę mleko.

Dorota naląła chłopcu mleka. Wypił, potem spojrział na wpatrzonych w niego ludzi. Znowu wydawało się, że usiłuje ich zrozumieć. Wyszedł do ogrodu, a oni patrzyli na tego przysadzistego gнома dłubiącego patykami w ziemi. Pozostałe dzieci poszły gdzieś na górę.

Przy stole siedzieli: Dorota z Amy na kolanach, Sara, Molly, Fryderyk, James i Dawid. Oprócz nich Angela, „zaradna” siostra, której się powiodło, a wszystkie jej dzieci były normalne.

Panująca w pokoju atmosfera kazała Harriet powiedzieć:

- Dobrze, słucham.

Harriet pomyślała, że nie przypadkiem właśnie Fryderyk powiedział:

- Posłuchaj, Harriet, spójrzmy prawdzie w oczy: trzeba go oddać do zakładu.

- W takim razie musimy znaleźć lekarza, który stwierdzi, że Ben jest nienormalny. Doktor Brett z pewnością tego nie zrobi.

- Postaraj się o innego lekarza - poradziła Molly. - Takie rzeczy można załatwić. - Molly i Fryderyk, podobni do stogów siana, o rumianych, dobrze odżywionych twarzach, byli zdecydowani. Nie wahali się, odkąd uznali, że mają do czynienia z kryzysem, w dodatku takim, jaki - choćby pośrednio - im zagraża. Harriet pomyślała, że wyglądają jak sędziowie po dobrym

posiłku, i zerknęła na Dawida, żeby sprawdzić, czy mogłaby się z nim podzielić krytyką, ale on siedział ze wzrokiem wbitym w stół, z zaciśniętymi ustami. Zgadzał się z Molly i Fryderykiem.

- Typowy dla klasy wyższej brak litości - zaśmiała się Angela.

Nikt nie pamiętał, by przy tym stole kiedykolwiek uderzano w tę strunę, w każdym razie nie z taką mocą. Zapadło milczenie, które Angela złagodziła słowami:

- Co nie znaczy, że się z wami nie zgadzam.

- Oczywiście, że się zgadzasz - powiedziała Molly.

- Każdy rozsądny człowiek musiałby przyznać rację.

- Chodzi o sposób, w jaki to powiedziałaś - zauważyła Angela.

- Czy ważne, w jaki sposób się mówi? - spytał Fryderyk.

- A kto zapłaci za umieszczenie Bena w zakładzie?

- zapytał Dawid. - Ja nie mogę. Wszystko, na co mnie stać, to płacenie bieżących rachunków, i to z pomocą Jamesa.

- Cóż, James będzie musiał ponieść ciężar finansowy, ale my się dołożymy - powiedział Fryderyk. Molly i Fryderyk po raz pierwszy zaoferowali pomoc finansową. „Skapi jak wszyscy ludzie ich pokroju”, panowało zgodne przekonanie rodziny, a teraz przypomniano sobie tę opinię. Molly i Fryderyk przyjeżdżali na dziesięć dni, przywożąc parę bażantów i parę butelek doskonałego wina. Wszyscy wiedzieli, że ich „dokładanie się” nie na wiele się zda.

Pełna wewnętrznych podziałów, rodzina siedziała w milczeniu.

W końcu James powiedział:

- Zrobię, co w mojej mocy, ale sprawy nie wyglądają tak dobrze jak kiedyś. W ciężkich czasach jachty nie są dla ludzi najważniejsze.

Znowu cisza; wzrok wszystkich skierowany na Harriet.

- Zabawni z was ludzie - powiedziała, odgradzając się od reszty. - Byliście tu już tyle razy i wiecie, naprawdę wiecie, na czym polega problem. Co powiemy ludziom, którzy kierują takim zakładem?

- To zależy od zakładu - odparła Molly, a jej całe duże ciało przepełniała energia i pewność. Tak jakby połknęła Bena w całości, a teraz go trawiła, pomyślała Harriet. Potem powiedziała łagodnym tonem, chociaż drżała:

- Chcesz powiedzieć, że musimy znaleźć jedno z tych miejsc, przyjmujących dzieci, których rodziny po prostu chcą się pozbyć.

- Zamożne rodziny - sprostowała Angela, szyderczo pociągając nosem.

Molly, stawiając czoło impertynencji, odparła:

- Owszem, jeśli nie znajdziemy nic innego. Jedno jest pewne: jeśli czegoś nie zrobimy, dojdzie do katastrofy.

- Już doszło do katastrofy - włączyła się Dorota stanowczo. - Pozostałe dzieci... cierpią. Ty, dziewczyno, jesteś tak zaabsorbowana, że tego nie dostrzegasz.

- Posłuchajcie - powiedział Dawid, zniecierpliwiony i zły, ponieważ czuł się rozdarty między Harriet a rodzicami. - Słuchajcie, ja się zgadzam. Po pewnym czasie Harriet też będzie musiała się zgodzić. Jeśli o mnie chodzi, należy to zrobić teraz. Dłużej już tego chyba nie wytrzymam. - Spojrzał na żonę, a w jego oczach kryło się błaganie i ból. „Proszę”, mówił do Harriet. „Proszę”.

- Dobrze - powiedziała Harriet. - Jeśli znajdziemy miejsce, gdzie... - Rozpłakała się.

Ben przyszedł z ogrodu i stanął, obserwując wszystkich, jak zwykle w oddaleniu od pozostałych. Miał na sobie brązowe ogrodniczki i brązową koszulę, jedno i drugie z mocnego materiału. Wszystko, co nosił, musiało być grube, bo Ben dał i niszczył ubrania. Z żółtawą szczeciną włosów, niemrugającymi oczyma jak kamyki, przygarbiony, na rozstawionych stopach i ugiętych kolanach, z zaciśniętymi, wysuniętymi przed siebie pięściami bardziej niż kiedykolwiek przypominał gнома.

- Ona płacze - powiedział o matce. Wziął ze stołu kromkę chleba i wyszedł.

- Dobrze, co zamierzacie im powiedzieć? - spytała Harriet.

- Zostaw to nam - odparł Fryderyk.

- Tak - dodała Molly.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Angela tonem gorzkiego podziwu. - Czasami, kiedy jestem z wami, w pełni rozumiem ten kraj.

- Dziękuję ci - powiedziała Molly.

- Dziękuję ci - powiedział Fryderyk.

- Nie jesteś sprawiedliwa, dziewczyno - stwierdziła Dorota.

- Sprawiedliwa - powtórzyły niemal chórem jej trzy córki, Angela, Harriet i Sara.

Wszyscy oprócz Harriet się roześmieli. W ten sposób zdecydowano o losie Bena.

Kilka dni później zadzwonił Fryderyk i oznajmił, że znaleziono odpowiednie miejsce i po Bena przyjedzie samochód. Natychmiast. Jutro.

Harriet wpadła w popłoch: jaki pośpiech... rzeczywiście, brak litości! A lekarz, który to zatwierdził? Czy naprawdę to zrobił? Lekarz, który nigdy nie widział Bena na oczy? Harriet powiedziała to wszystko Dawidowi i poznała po jego zachowaniu, że wiele spraw działo się za jej plecami. Rodzice Dawida rozmawiali z nim w biurze. Kiedy Molly, wobec której Harriet zapalała nagłą nienawiścią, powiedziała: „Musisz być stanowczy wobec Harriet”, Dawid odparł: „Tak, zajmę się tym”.

- Albo on, albo my - powiedział Dawid do Harriet, po czym dodał tonem zimnej niechęci do Bena: - On pewnie spadł z Marsa. Złoży sprawozdanie z tego, co tu widział. - Zaśmiał się, okrutnie, jak się Harriet zdawało. W milczeniu przyjmowała do wiadomości fakt - już wcześniej po części jej znany - że Ben miał niedługo pożyć w tym zakładzie, czymkolwiek on był.

- To jest małe dziecko - powiedziała. - Nasze dziecko.

- Nieprawda - odparł Dawid. - Cóż, w każdym razie nie moje.

Siedzieli w salonie. Od strony ciemnego zimowego ogrodu dobiegały przenikliwe głosy dzieci. Pod wpływem tego samego impulsu Dawid i Harriet podeszli do okna i odsunęli ciężkie zasłony. Ogród więził mroczne kształty drzew i krzewów, ale światło z tego ciepłego pokoju sięgało przez trawnik do pogrążonego w zimowej czerni krzaka, rozjaśniało gałązki, na których migotały krople wody, wydobywało z ciemności biały pień brzozy. Dwie małe postacie, nie do rozróżnienia w wielobarwnych pikowanych kurtkach, spodniach i wełnianych czapkach wyłoniły się spod zarośli ostrokrzewu i szły przed siebie. Byli to Helena i Łukasz na szlaku przygody. Kijami dźgali zeszlóroczne liście.

- Tu jest! - rozległ się triumfalny głos Heleny, a oczom rodziców ukazała się zatknięta na końcu kija czerwono - żółta plastikowa piłka, która zginęła w lecie. Była zabrudzona, zgnieciona, ale cała. Dzieci zatańczyły triumfalnie, tupiąc i trzymając odzyskaną piłkę wysoko w górze. Potem nagle, bez wyraźnego powodu, podbiegły do przeszklonych drzwi ogrodowych. Rodzice usiedli na sofie twarzami do drzwi, te otworzyły się gwałtownie do wewnątrz i oto w progu stanęły dwie drobne, eleganckie istotki o rumianych, kąsanych przez mróz policzkach i podnieconych oczach. Jeszcze przed chwilą dzieci były częścią ciemnej dzicy. Stały, oddychając ciężko, ich oczy powoli przywykały do rzeczywistości, do ciepłego, jasnego pokoju dziennego i rodziców, którzy na nie patrzyli. Nastąpiło chwilowe spotkanie dwóch obcych form życia: dzieci były częścią pradawnego barbarzyństwa, które nadal łomotało w ich krwi; teraz jednak, wracając do rodziny, musiały pożegnać się z dziką stroną swojej natury. Harriet i Dawid

dzielili z dziećmi ten stan, towarzyszyli im w wyobraźni i wspomnieniach z własnego dzieciństwa: widzieli siebie wyraźnie - dwoje uładzonych, udomowionych dorosłych, wręcz żalonych w swym oddaleniu od dzikości i wolności.

Na widok rodziców bez innych dzieci, a przede wszystkim bez Bena, Helena podeszła do ojca, Łukasz do matki, Dawid i Harriet objęli dzielną dwójkę swoich dzieci i mocno przytulili.

Nazajutrz po Bena przyjechała mała czarna furgonetka. Harriet wiedziała, że przyjedzie, bo Dawid nie poszedł do pracy. Został w domu, żeby się nią „zająć”! Poszedł na górę i zniósł walizki i torby, które spakował po cichu, kiedy podawała dzieciom śniadanie.

Dawid wrzucił bagaże do furgonetki. Następnie, z tak zaciętą twarzą, że wydał się Harriet obcym człowiekiem, podniósł Bena z podłogi, zaniósł do furgonetki i wsadził do środka. Z tym samym zaciętym wyrazem twarzy podeszedł do Harriet, objął ją, odwrócił od furgonetki, która już ruszyła (słyszała dobywające się z samochodu wrzaski i krzyki), i zaprowadził na sofę, gdzie - wciąż mocno ją trzymając - powtórzył wiele, wiele razy: „Musimy to zrobić, Harriet. Musimy”. - Harriet płakała z powodu szoku, ulgi i wdzięczności wobec męża, który wziął na siebie pełną odpowiedzialność.

Kiedy dzieci wróciły do domu, usłyszały, że Ben został do kogoś wysłany.

- Do babci? - zaniepokoiła się Helena.

- Nie.

W czterech parach podejrzliwych, czujnych oczu rozbłysła nagle ulga. Histeryczna ulga. Nie mogąc się powstrzymać, dzieci zatańczyły w koło, potem zaczęły udawać, że to tylko taka zabawa, którą wymyśliły na poczekaniu.

Przy kolacji dzieci były nadmiernie ożywione, chichotały histerycznie. W ciszy, która nagle zapadła, rozległ się świdrujący głosik Janeczki:

- Czy nas też gdzieś wyślecie?

Janeczka, miniatura Doroty, była powściągliwą, cichą dziewczynką, która nigdy nie mówiła zbędnych rzeczy. Teraz jednak wpatrywała się w matkę wielkimi, przerażonymi niebieskimi oczyma.

- Nie, oczywiście, że was nie wyślemy - zapewnił szorstko Dawid.

- Oni odesłali Bena, bo tak naprawdę nie jest jednym z nas - wyjaśnił Łukasz.

W ciągu następnych dni rodzina rozkwitła niczym papierowe kwiaty w wodzie. Harriet zrozumiała, jakim ciężarem był Ben, jak bardzo ich wszystkich ciemnył, jak bardzo dzieci

cierpiał; wiedziała, że rozmawiały o tym znacznie więcej, niż rodzice chcieli wiedzieć, że próbowały pogodzić się z obecnością Bena. Teraz jednak, kiedy Ben odjechał, oczy dzieci błyszczały; radosne, raz po raz podchodziły do Harriet i obdarowywały ją słodyczami lub zabawkami.

- To dla ciebie, mamo.

Podbiegały do matki, żeby ją pocałować, pogłaskać po twarzy, albo przytulić się do niej buzią jak szczęśliwe cielątka czy sarenki. Dawid wziął kilka dni wolnego, aby być razem z nimi wszystkimi, żeby być z żoną. Wobec Harriet był uważny i czuły. Jakbym była chora, pomyślała buntowniczo. Oczywiście bez przerwy myślała o Benie, który gdzieś tam był więźniem. Jakiego rodzaju więźniem? Harriet wyobraziła sobie małą czarną furgonetkę, przypomniała sobie okrzyki wściekłości, kiedy go zabierali.

Dni mijały, a dom wypełnił się normalnością. Harriet podsłuchiwała, jak dzieci rozmawiały o świętach wielkanocnych.

- Teraz, kiedy nie ma Bena, będzie w porządku - stwierdziła Helena.

Dzieci zawsze rozumiały więcej, niż Harriet chciała przyznać.

Harriet udzieliło się powszechne uczucie ulgi, z trudem mogła uwierzyć, że tak długo znosiła ogromne napięcie, ale mimo to nie potrafiła wyrzucić Bena z umysłu. Nie myślała o nim z miłością ani nawet z sympatią; nie lubiła siebie za to, że nie umie znaleźć choćby iskierki normalnego uczucia. To poczucie winy i przerażenie nie pozwalały jej zasnąć w nocy, a Dawid wiedział, że Harriet nie śpi, mimo że próbowała to ukrywać.

Pewnego ranka gwałtownie obudziła się ze złego snu, chociaż go nie pamiętała, i oznajmiła:

- Jadę sprawdzić, co oni robią z Benem.

Dawid otworzył oczy i leżał w milczeniu, patrząc ponad swoim ramieniem w okno. Nie spał, ale drzemał. Harriet wiedziała, że tego właśnie się obawiał, a coś w jego postawie powiedziało jej: „A zatem dość”.

- Dawidzie, ja muszę.

- Nie rób tego - powiedział.

- Po prostu muszę.

Po tym, że Dawid leżał, nie patrząc na nią, i wymówił tylko te trzy słowa, poznała, że robiła coś, co było dla niej niedobre. Leżał tak przez kilka minut, podejmując decyzję, potem

wstał, wyszedł z pokoju i zszedł na dół.

Kiedy Harriet się ubrała, zadzwoniła do Molly, która natychmiast uderzyła w zimno - gniewne tony.

- Nie, nie powiem ci, gdzie on jest. Skoro to już zrobiłaś, zostaw tę sprawę w spokoju.

W końcu jednak podała Harriet adres.

Harriet po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, dlaczego zawsze traktują ją jak zbrodniarkę. Było tak, odkąd Ben się urodził. Teraz miała wrażenie, że wszyscy ją skrycie potępili. Spotkało mnie nieszczęście, mówiła do siebie; nie popełniłam zbrodni.

Bena zabrano do zakładu na północy Anglii; Harriet miała przed sobą cztery, pięć godzin jazdy - może więcej, jeśli będzie duży ruch. Drogi okazały się zatłoczone; jechała w szarym zimowym deszczu. Wczesnym popołudniem dotarła do dużego, solidnego domu z ciemnego kamienia, położonego w dolinie wśród wrzosowisk, których prawie nie widziała przez szarą ścianę deszczu. Otoczony ponurymi, ociekającymi wodą wiecznie zielonymi drzewami dom miał trzy rzędy jednakowych okratowanych okien.

Harriet weszła do niewielkiego holu, gdzie na drzwiach wisiała kartka z odręcznym napisem: „Dzwonić”. Zadzwoniła, poczekała, nic się nie stało. Stała z bijącym sercem. W jej żyłach wciąż krążyła adrenalina, dzięki której zdobyła się na przyjazd, ale długa podróż samochodem ją przygnębiła, a ten posępny dom mówił jej nerwom, jeśli nie intelektowi - bo w końcu nie dysponowała żadnymi faktami - że jej obawy się potwierdziły. Mimo to nie wiedziała dokładnie, co właściwie się potwierdziło. Zadzwoniła znowu. W domu panowała cisza: słyszała odgłos dzwonka daleko we wnętrzu. Znowu nic. Już miała obejść dom dokoła, kiedy drzwi nagle się otworzyły i w progu ukazała się zaniedbana dziewczyna w swetrze i grubym szalu. Miała bladą twarzyczkę pod szopą kręconych żółtych włosów, splecionych w warkocz podobny do owczego ogona, związany niebieską wstążką. Wyglądała na zmęczoną.

- Tak? - spytała.

Harriet pojęła, że ludzie po prostu tu nie przyjeżdżali.

- Nazywam się Lovatt, przyjechałam zobaczyć się z synem - powiedziała uparcie.

Było oczywiste, że w tym zakładzie, czymkolwiek on był, nie spodziewano się takich słów.

Dziewczyna utkwiała wzrok w Harriet, bezradnie potrząsnęła głową, wreszcie powiedziała:

- Doktora MacPhersona nie ma w tym tygodniu. - Dziewczyna była Szkotką i mówiła z silnym akcentem.

- Ktoś musi go zastępować - powiedziała Harriet stanowczo.

Dziewczyna, bardzo zaniepokojona, skapitulowała przed Harriet, uśmiechając się niepewnie.

- W takim razie niech pani tu poczeka - powiedziała i weszła do środka. Harriet ruszyła za dziewczyną, zanim duże drzwi zdążyły się zatrzasnąć. Dziewczyna obejrzała się, jakby zamierzała ostrzec: „Musi pani poczekać na zewnątrz”, ale zamiast tego powiedziała:

- Przyrowadzę kogoś. - Poszła dalej ciemnym korytarzem oświetlonym małymi sufitowymi żarówkami, które prawie nie rozpędzały mroku. Pachniało środkiem dezynfekującym. Absolutna cisza. Nie, po pewnym czasie do Harriet dotarł wysoki wrzask, który rozległ się, cichł i wybuchał na nowo w głębi budynku.

Nic się nie stało. Harriet wyszła do westybulu, pogrążającego się już w mrokach nocy. Deszcz przeszedł w zimną ulewę, cichą i miarową. Wrzosowiska znikły.

Ponownie zadzwoniła zdecydowanie i wróciła na korytarz.

W oddali, pod punktowymi żarówkami, pojawiły się dwie postacie, które ruszyły w stronę Harriet. Za młodym mężczyzną w białym, niezbyt czystym fartuchu szła dziewczyna z papierosem w ustach, mrużąc oczy od dymu. Oboje wyglądali na zmęczonych i niepewnych.

Był to zwyczajny, podniszczony młody człowiek; dłonie, twarz, oczy ulegały postępującemu rozkładowi. Nijaki, miał jednak w sobie coś rozpaczliwego, jakby tłumił gniew, a może bezradność.

- Pani nie wolno tu być - powiedział gwałtownie, a przy tym bez zdecydowania. - Nie mamy tu dni odwiedzin. - Mówił z nosowym akcentem z południowego Londynu.

- Ale tu jestem - odparła Harriet. - Przyjechałam zobaczyć się z synem, Benem Lovattem.

Mężczyzna zrobił nagły wdech i spojrzał na dziewczynę, która zacisnęła usta i uniosła w górę brwi.

- Niech pan posłucha, chyba pan nie rozumie - ciągnęła Harriet. - Ja stąd nie odjadę. Przyjechałam zobaczyć się z synem i to właśnie zrobię.

Mężczyzna widział, że Harriet nie żartuje. Powoli skinął głową, jakby mówił: „Tak, ale nie w tym rzecz”. Patrzył na nią twardo. Harriet dostała ostrzeżenie, w dodatku od człowieka, który brał za swoje słowa pełną odpowiedzialność. Mógł być dość żalonym młodzieńcem, z

pewnością przemęczonym i niedożywionym, wykonującym tę pracę, bo nie potrafił znaleźć innej, ale przemawiało przez niego brzemień - niewesołe brzemień - zajmowanego stanowiska. Należało się liczyć z jego wyrazem twarzy, z zaczerwienionymi, zmęczonymi od dymu, surowymi oczami.

- Kiedy ludzie porzucają tu swoje dzieci, nie przyjeżdżają się nimi zajmować - powiedział.

- Widzi pani, nic pani nie rozumie - dodała dziewczyna.

Harriet usłyszała, jak wybucha:

- Mam dość wysłuchiwania, że nie rozumiem legi > czy tamtego. Jestem matką tego dziecka. Jestem matką Bena Lovatta. Czy wy to rozumiecie?

Nagle cała trójka zjednoczyła się w porozumieniu, wręcz w rozpaczliwej akceptacji jakiegoś powszechnego fatum. Mężczyzna przytaknął i powiedział:

- Cóż, pójdę zobaczyć...

- Ja też idę - rzuciła Harriet.

- O, nie! - wykrzyknął, potem powiedział coś do dziewczyny, która zdumiewająco szybko pobiegła korytarzem. - Niech pani tu poczeka - powiedział mężczyzna do Harriet i ruszył za dziewczyną.

Harriet ujrzała, jak dziewczyna skręca w prawo i znika. Bez zastanowienia otworzyła drzwi po prawej stronie. Zobaczyła rękę mężczyzny wzniesioną w geście przekleństwa czy ostrzeżenia i dotarło do niej to, co było za drzwiami.

Znajdowała się na końcu długiego oddziału, gdzie pod ścianami stało mnóstwo łóżek i łóżek polowych. Na pryczach leżały potwory. Idąc szybko przez oddział do drzwi na drugim końcu, zobaczyła, że na każdym łóżku i każdej półowce leży noworodek lub małe dziecko, w którym ludzki szablon został zniekształcony, czasem upiornie, czasem tylko nieznacznie. Dziecko w kształcie przecinka, wielka głowa kołysząca się na łodyżkowatym tułowiu... potem coś w rodzaju patyczaka, olbrzymie wylupiające oczy wśród sztywnych, kruchych kończyn... bezkształtna dziewczynka o rozplywającym się ciele - lalka z kredowymi, opuchniętymi członkami, o szeroko rozwartych, pustych oczach jak niebieskie stawy i rozdziawionych ustach, w których widniał spuchnięty języczek. Tykowały chłopiec był wykrzywiony, jedna połowa ciała wyslizgiwała się z drugiej. Jedno z dzieci na pierwszy rzut oka wyglądało normalnie, ale później Harriet ujrzała, że nie miało tyłu głowy; była tylko twarz, która zdawała się na nią wrzeszczeć.

Całe rzędy dziwołagów, prawie wszystkie pogrążone we śnie, wszystkie milczące. Dzieci były do granic możliwości nafaszerowane lekami. Właściwie niezupełnie milczały: z łóżka połowego o bokach ochronionych kocami dobiegało straszliwe łkanie. Wysoki, przerywany wrzask, teraz bliższy, wciąż drażnił nerwy Harriet. Odór odchodów był silniejszy niż zapach środków dezynfekujących. W końcu Harriet wyszła z koszmarne oddziału i znalazła się w innym korytarzu, równoległym i identycznym z tamtym, który zobaczyła na początku. Na końcu korytarza ujrzała dziewczynę, a za nią młodego mężczyznę, którzy zbliżyli się ku niej, następnie znowu skręcili w prawo... Harriet pobiegła co sił, słysząc tupot własnych nóg, skręciła za tamtymi i znalazła się w niewielkim pomieszczeniu, gdzie stały wózki pełne leków. Minąwszy tę salkę, wbiegła w długie przejście z betonową podłogą; na przeciwległej ścianie znajdował się rząd okratowanych drzwi. Kiedy Harriet dogoniła mężczyznę i dziewczynę, otwierali właśnie jedne z drzwi. Wszyscy troje dyszeli ciężko.

- Gówno - zaklął młody mężczyzna, mając na myśli obecność Harriet.

- Dosłownie - odparła, kiedy drzwi otworzyły się na kwadratowe pomieszczenie o ścianach z białego plastiku, gdzieniegdzie zaopatrzonego w guziki. Całość przypominała drogą tapicerkę ze sztucznej skóry. Na podłodze, na zielonym piankowym materacu leżał Ben. Był nieprzytomny. Nagie ciało opinał kaftan bezpieczeństwa. Z ust wysuwał się bladożółty język. Ciało miał trupio blade, zielonkawe. Wszystko - ściany, podłoga i sam Ben - było wymazane odchodami. Z przesiąkniętego posłania wyciekała kałuża żółtego moczu.

- Mówiłem pani, żeby pani tu nie przychodziła! - krzyknął mężczyzna. Ujął Bena za ramiona, a dziewczyna za stopy. Po sposobie, w jaki dotykali dziecka, Harriet poznała, że nie są brutalni; zupełnie nie o to chodziło. Wynieśli Bena - w minimalnym stopniu stykając się z jego ciałem - z pokoju, przeszli kawałek korytarzem i zniknęli w jakichś drzwiach. Harriet ruszyła za nimi, potem stanęła, przyglądając się, co robią. W pomieszczeniu wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się rząd zlewów, stały wielka wanna oraz pochyła betonowa półka z gniazdkami elektrycznymi. Właśnie na tej półce położyli Bena, rozwiązali kaftan bezpieczeństwa, ustawili temperaturę wody i zaczęli go obmywać wodą z węża przymocowanego do jednego z kranów. Harriet oparła się o ścianę i patrzyła. Doznała tak silnego szoku, że przestała już cokolwiek odczuwać. Ben się nie ruszał. Leżał na betonie jak utopiona ryba, dziewczyna przewróciła go kilkakrotnie, a mężczyzna w tym czasie przerywał polewanie; na koniec zanieśli chłopca na drugą półkę, gdzie go wytarli i wpakowali w czysty kaftan bezpieczeństwa wybrany ze sterty.

- Dlaczego? - zapytała ostro Harriet, ale nie odpowiedzieli.

Wynieśli z pokoju związane, nieprzytomne dziecko z wywieszonym językiem, przeszli korytarzem i wnieśli do innego pomieszczenia, w którym znajdowała się łóżkopodobna betonowa półka. Położywszy na niej Bena, wyprostowali się i odetchnęli: „Uff.

- No cóż, oto on - powiedział młody mężczyzna. Przez chwilę stał z zamkniętymi oczami, dochodząc do siebie po ciężkiej próbie, wreszcie zapalił papierosa. Dziewczyna wyciągnęła rękę po jednego, więc ją poczęstował. Palili, patrząc na Harriet wzrokiem pełnym wyczerpania i klęski.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Serce ją bolało, jak bolałoby z powodu któregoś z jej własnych, prawdziwych dzieci, ponieważ Ben, z zamkniętymi zimnymi, obcymi oczami, jeszcze nigdy nie wyglądał tak zwyczajnie. Żałosny: nigdy dotąd nie widziała go równie żalosnym.

- Chyba zabiorę go do domu - powiedziała.

- To pani decyzja - odparł krótko mężczyzna. Dziewczyna przyglądała się jej ciekawie, jakby Harriet była częścią zjawiska o nazwie „Ben”, tej samej, co on natury.

- Co pani zamierza z nim zrobić? - spytała dziewczyna, a potem dodała ze strachem w głosie: - On jest taki silny... Nigdy nic podobnego nie widziałam.

- Nikt z nas nic podobnego nie widział - dodał mężczyzna.

- Gdzie jest jego ubranie?

Mężczyzna roześmiał się szyderczo i zapytał:

- Zamierza pani go ubrać i, ot tak, zabrać do domu?

- Dlaczego nie? Kiedy tu przyjechał, był ubrany. Tamci dwoje - pielęgniarze, porządkowi, kimkolwiek byli - spojrzeli po sobie. Potem zaciągnęli się papierosami.

- Pani chyba nie rozumie, pani Lovatt - powiedział mężczyzna. - Po pierwsze, jak długą ma pani drogę?

- Cztery czy pięć godzin jazdy.

Pielęgniarz wybuchnął śmiechem, co miało znaczyć, że ona, Harriet, nie wie, co mówi.

- Ocknie się w drodze, i co wtedy?

- Cóż, wtedy mnie zobaczy - odparła Harriet, ale po wyrazie twarzy tamtych poznała, że powiedziała coś głupiego. - No dobrze, co w takim razie radzicie?

- Nie zdejmuj chłopcu kaftana bezpieczeństwa i owiń go w kilka koców - powiedziała dziewczyna.

- A potem gaz do dechy - dodał pielęgniarz.

Cała trójka stała w milczeniu, patrząc po sobie z powagą.

- Niech pani spróbuje wykonywać tę pracę - powiedziała nagle dziewczyna, pełna gniewu na los. - Niech pani tylko spróbuje. Cóż, pod koniec tego miesiąca odchodzę.

- Ja też, nikt nie wytrzyma tu dłużej niż kilka tygodni - dodał pielęgniarz.

- Dobrze - powiedziała Harriet. - Nie wniosę skargi ani nic takiego.

- Musi pani podpisać formularz. Musimy mieć krycie. Znalezienie formularza nastęczało jednak kłopotów.

W końcu, po długim szperaniu w szafce, wydobyli odbitą wiele lat wcześniej kartkę i zapisali na niej, że Harriet zwalnia zakład od wszelkiej odpowiedzialności.

Harriet podniosła Bena, dotykając go po raz pierwszy. Był zimny jak trup. Kiedy tak leżał bezwładnie w jej ramionach, zrozumiała określenie „ciężar nad siły”.

Wyszła na korytarz, mówiąc:

- Nie zamierzam jeszcze raz przechodzić przez ten korytarz.

- Kto mógłby cię winić? - odparł znużony pielęgniarz z sarkazmem. Przyniósł kilka koców, otulili Bena w dwa, zanieśli do samochodu i przykryli jeszcze paroma kocami. Widać było tylko twarz chłopca.

Harriet stała razem z tamtymi obok samochodu. Prawie się nie widzieli. Jeśli nie liczyć świateł samochodu i tych zapalonych w domu, panowała ciemność. Pod butami chlupotała woda. Pielęgniarz wyjął z kieszeni plastikowe opakowanie ze strzykawką, paroma igłami i kilkoma ampułkami.

- Lepiej niech pani to weźmie - poradził. Harriet zawahała się, a dziewczyna powiedziała:

- Pani Lovatt, pani sobie chyba nie zdaje sprawy... Harriet skinęła głową, wzięła paczuszkę, wsiadła do samochodu.

- Może mu pani dawać do czterech zastrzyków dziennie, nie więcej - upomniał pielęgniarz.

Zanim Harriet zwolniła sprzęgło, zapytała:

- Jak myślicie, ile on by jeszcze wytrzymał? Twarze tamtych białły w mroku, ale Harriet ujrzała, że mężczyzna, potrząsając głową, odwrócił się na pięcie. Dziewczyna powiedziała:

- Żadne z nich długo nie wytrzyma. Ale ten... ten jest bardzo silny. Nigdy nie widzieliśmy tu silniejszego.

- To znaczy, że wytrzymałby dłużej?

- Nie, wcale nie - odparł pielęgniarz. - Ponieważ jest taki silny, bez przerwy walczy, więc musi dostawać mocniejsze zastrzyki. Zastrzyki ich zabijają.

- Dobrze - powiedziała Harriet. - Dziękuję wam obojgu. Pielęgniarz i dziewczyna odprowadzali ją wzrokiem, ale samochód prawie natychmiast znikł w ciemnościach. Okrążając podjazd, Harriet zobaczyła, że stoją na słabo oświetlonej werandzie, jakby ociągali się przed wejściem do środka.

Jechała tak szybko, jak tylko mogła w zimowym deszczu; omijała główne drogi, raz po raz zerkając na stertę koców z tyłu. Mniej więcej w połowie drogi do domu ujrzała, że koce unoszą się i drgają; Ben obudził się z wrzaskiem wściekłości, szarpnął się i wylądował na podłodze, gdzie zaczął krzyczeć. Nie był to jednak wysoki, przenikliwy, automatyczny krzyk, jaki słyszała w zakładzie, ale krzyk strachu, który wibrował w całym ciele Harriet. Znosiła go przez pół godziny. Cały samochód drżał od uderzeń Bena. Harriet szukała zatoczki, gdzie nie było innych pojazdów, a kiedy znalazła, zatrzymała się, zostawiła silnik na jałowym biegu i wyjęła strzykawkę. Podczas chorób innych dzieci nauczyła się robić zastrzyki. Odłamała ampułkę, na której nie było żadnej nazwy, i napełniła strzykawkę. Potem wychyliła się przez fotel. Siny z zimna Ben, nagi, jeśli nie liczyć kaftana bezpieczeństwa, miotał się, szamotał się i wył. Na Harriet patrzyły szkliste od nienawiści oczy. On mnie nie poznał, pomyślała. Nie śmiała rozwiązać kaftana. Bała się zrobić zastrzyk blisko szyi. W końcu zdołała chwycić i przytrzymać kostkę, dźgnęła igłą w dolną część łydki i odczekała, aż ciało syna zwiotczeje. Stało się tak już po chwili. Co to był za lek?

Ponownie położyła Bena na tylnym siedzeniu i głównymi drogami ruszyła do domu. Na miejsce dotarła około ósmej. Dzieci siedzą pewnie przy stole w kuchni. Dawid jest z nimi: na pewno nie poszedł do pracy.

Z otulonym kocami Benem w ramionach weszła do salonu i nad niską ścianą spojrzała na duży stół, wokół którego siedzieli wszyscy: Łukasz, Helena, Janeczka, Pawełek. I Dawid, z zaciętą, gniewną i bardzo zmęczoną twarzą.

- Oni go zabijali - powiedziała Harriet i zrozumiała, że Dawid nie wybaczy jej, że powiedziała to przy dzieciach. Na wszystkich twarzach malował się strach.

Harriet poszła prosto po schodach do dużej sypialni, stamtąd do „dziecięcego pokoju”, gdzie położyła Bena na łóżku. Budził się. Wtedy się zaczęło: walka, szamotanina, wrzaski.

Chłopiec tarzał się po podłodze, napinał ciało, tłukł, a jego oczy płonęły czystą nienawiścią.

Nie mogła zdjąć kaftana bezpieczeństwa.

Poszła do kuchni po mleko i biszkopty, a rodzina przyglądała się jej w całkowitym milczeniu.

Cały dom trząsał się od krzyków i szamotaniny Bena.

- Zaraz będzie tu policja - zauważył Dawid.

- Pilnij, żeby siedzieli cicho - poleciła Harriet i poszła na górę z jedzeniem.

Kiedy Ben zobaczył, co matka trzyma w dłoniach, umilkł, znieruchomiał, a w oczach pojawiła się chciwość. Podniosła go jak mumię, a chłopiec zaczął łykać tak gwałtownie, że prawie się zadławił; był zagłodzony. Nakarmiła go kawałkami biszkoptów, trzymając palce z dala od zębów Bena. Kiedy zjadł wszystko, co przyniosła, znowu zaczął się wrywać i wyc. Harriet zrobiła mu kolejny zastrzyk.

Dzieci siedziały przed telewizorem, ale niczego nie oglądały. Janeczka i Pawełek płakali. Dawid siedział przy stole z głową w dłoniach. Harriet powiedziała cicho, ale tak, by mąż usłyszał:

- Dobrze, jestem kryminalistką. Ale oni go mordowali. Dawid się nie poruszył. Harriet stała odwrócona do niego plecami. Nie chciała widzieć twarzy męża.

- Za kilka miesięcy by nie żył. Może za kilka tygodni. - Cisza. W końcu się odwróciła. Z najwyższym trudem zmusiła się, żeby spojrzeć na męża. Wyglądał na chorego, ale to nie było to...

- Nie mogłam tego znieść - powiedziała.

- Sądziłem, że tak się umówiliśmy - odparł z rozmysłem.

- Tak, ale ty tego nie widziałeś, nie widziałeś...! - krzyknęła.

- Dopilnowałem, żeby tego nie widzieć - odpowiedział Dawid. - A tyś myślała, że co się stanie? Że zrobią z niego przystosowanego członka społeczeństwa i wszystko będzie cacy? - Dawid szydził z Harriet, ale dlatego, że dławiły go łzy.

Dawid i Harriet popatrzyli na siebie. To były długie, twarde spojrzenia, przed którymi nic nie mogło się ukryć. Dobrze, on miał rację, a ja się myliłam, pomyślała, ale stało się.

- Dobrze, ale stało się - powiedziała na głos.

- Przypuszczam, że to jest *motjuste*.

Harriet usiadła na sofie obok dzieci. Teraz zobaczyła, że wszystkie mają załzawione

buzie. Nie mogła ich pocieszyć dotykiem, ponieważ to ona doprowadziła je do płaczu.

W końcu powiedziała: „łóżko”, dzieci wstały jak na komendę i nie patrząc na matkę, wyszły z salonu.

Harriet zabrała do dużej sypialni zapas jedzenia dla Bena. Dawid przeniósł swoje rzeczy do innego pokoju.

Ben obudził się przed świtem i zaczął swoje wrzaski, Harriet nakarmiła go, potem zrobiła zastrzyk.

Jak zwykle dała dzieciom śniadanie i próbowała zachowywać się normalnie. Dzieci też próbowały. Nikt nie wspomniał o Benie.

Dawid zszedł na dół, a Harriet powiedziała:

- Proszę, zawieź je do szkoły.

W domu zostali tylko Harriet i Ben. Kiedy Ben się obudził, Harriet nakarmiła go, ale nie zrobiła zastrzyku. Wrzeszczał i walczył, ale, jej zdaniem, już znacznie mniej.

Zapadła chwilowa cisza. Wyglądało na to, że Ben się zmęczył.

- Jesteś w domu, Ben, nie w tamtym miejscu - powiedziała, a on słuchał.

- Jeśli przestaniesz hałasować, wyjmę cię z tej rzeczy, w którą cię wsadzili.

Na to było jednak za wcześnie. Poprzez wrzaski Bena do uszu Harriet dobiegły głosy, podeszła więc do poręczy schodów. Dawid nie pojechał do biura, ale został w domu, żeby jej pomóc. Na dole stały dwie policjantki, z którymi rozmawiał Dawid. Odeszły.

Co im powiedział? Harriet nie zapytała.

Gdy zbliżała się pora powrotu dzieci, Harriet powiedziała do Bena:

- Ben, chcę, żebyś teraz zachowywał się cicho. Przyjdą pozostałe dzieci i wystraszysz je tym krzykiem.

Ben ucichł, wyczerpany.

Leżał na podłodze wysmarowanej odchodami. Harriet zniosła go do łazienki, zdjęła kaftan bezpieczeństwa, wsadziła chłopca do wanny i umyła. Zauważyła, że drży z przerażenia; nie zawsze był nieprzytomny, kiedy myli go w zakładzie. Zniosła Bena z powrotem do łóżka i powiedziała:

- Jeśli zaczniesz od nowa, będę musiała znowu ci to nałożyć.

Chłopiec zazgrzytał zębami; oczy płonęły gniewem. Ale on też się bał. Będzie musiała kontrolować go poprzez strach.

Harriet sprzątała pokój, a Ben leżał, poruszając rękoma, jakby zapomniał, jak się to robi. W tym więzieniu z materiału przebywał pewnie, odkąd trafił do zakładu.

Kucnął na łóżku, poruszając rękami, i rozglądał się po pokoju. W końcu poznał zarówno pomieszczenie, jak i Harriet.

- Otwórz drzwi - powiedział.

- Nie, dopóki się nie upewnię, że będziesz grzeczny - odparła.

Ben już miał zacząć robić piekło, ale Harriet krzyknęła:

- Mówię poważnie, Ben! Jeśli zaczniesz krzyczeć i wrzeszczeć, to cię zwiążę.

Ben się opanował. Harriet podała mu kanapki, a on dławiąc się wepchnął je sobie do ust.

Oduczył się wszystkich podstawowych społecznych zachowań, które wpoili mu z takim trudem.

Ben jadł, a Harriet mówiła cicho:

- Wysłuchaj mnie, Ben. Musisz mnie wysłuchać. Zachowuj się grzecznie, a wszystko będzie dobrze. Musisz się odpowiednio odżywiać. Musisz korzystać z nocnika albo chodzić do toalety. Nie wolno ci wrzeszczeć ani walczyć. - Nie była pewna, czy chłopiec słyszy. Powtórzyła wszystko od początku. Powtórzyła wszystko wiele razy.

Wieczorem została z Benem; w ogóle nie zobaczyła się z dziećmi. Dawid przeniósł się do drugiego pokoju, z dala od Harriet. Ona widziała to tak, że ochrania domowników przed Benem, a jego samego na powrót przystosowuje do życia w rodzinie. Oni jednak, dobrze o tym wiedziała, widzieli to tak, że Harriet odwróciła się do wszystkich plecami i postanowiła wyruszyć do obcej krainy razem z Benem.

W nocy zamknęła drzwi pokoju Bena na klucz. Nie zrobiła mu zastrzyku, bo miała nadzieję, że zaśnie. Istotnie, zasnął, ale obudził się, krzycząc ze strachu. Harriet weszła do pokoju i zastała Bena w końcu łóżka, pod ścianą. Ręką zasłaniał twarz i nie słuchał jej, mimo że mówiła do niego i mówiła, usiłując rozsądnymi argumentami odegnać burzę przerażenia. W końcu ucichł, a Harriet podała mu jedzenie. Wciąż było mu mało, naprawdę głodował. W zakładzie faszerowali go środkami uspokajającymi, a w takim stanie nie mógł jeść.

Najedzony, znowu skulił się pod ścianą, kucnął na łóżku i zerknął na drzwi, skąd mieli nadejść prześladowcy: jeszcze nie dotarło do niego, że jest w domu.

Potem Ben zapadł w drzemkę... zbudził się z wrzaskiem; zdrzemnął się... ocknął... Harriet ukoła go, i zapadł w sen.

Mijały dni; mijały noce.

Do Bena w końcu dotarło, że znajduje się w domu i jest bezpieczny. Stopniowo przestał jeść tak, jak gdyby każdy kęs był ostatnim. Stopniowo zaczął używać nocnika, później pozwolił prowadzić się za rękę do toalety. Wreszcie zszedł na dół, rozglądając się na wszystkie strony, żeby dostrzec nieprzyjaciela, zanim ten znowu go uwięzi. Ben widział to tak, że właśnie w tym domu został osaczony. Osaczony przez własnego ojca. Kiedy po raz pierwszy spojrzął na Dawida, wycofał się z sykiem.

Dawid nie starał się dodać Benowi otuchy; według niego odpowiedzialność za Bena spoczywała na barkach Harriet, natomiast on sam odpowiadał za dzieci - prawdziwe dzieci.

Ben zajął miejsce przy dużym stole, wśród innych. Nie odrywał wzroku od ojca, który go zdradził.

- Witaj, Ben - powiedziała Helena.

- Witaj, Ben - powiedział Łukasz, potem Janeczka. Paweł nie przyłączył się do powitań. Zgnębiony powrotem Bena, klapnął na krzesło i udawał, że ogląda telewizję.

- Witajcie - powiedział w końcu Ben, wodząc oczami po twarzach: „Przyjaciół czy wróg?”.

Ben jadał, nie spuszczać wzroku z domowników. Kiedy poszli oglądać telewizję, dla bezpieczeństwa poszedł w ich ślady; zapatrzył się w ekran, ponieważ pozostali to zrobili.

I tak życie wróciło do normy, jeżeli można użyć tego słowa.

Ben jednak nie ufał ojcu; już nigdy więcej mu nie zaufał. Ilekroć Dawid się zbliżał, Ben sztywniał, cofał się, a jeśli ojciec podszedł zbyt blisko, chłopiec wyszczerzał zęby.

Kiedy Harriet nabrała pewności, że Ben wydobrzeł, postanowiła wcielić w życie pomysł, który od pewnego czasu kielkował w jej umyśle. W ogrodzie, który okropnie zarósł latem, pomagał młody człowiek imieniem John - imający się różnych prac bezrobotny.

Przez kilka dni John przycinał żywopłoty, wykopał parę niedomagających krzewów, odpiłował uschniętą gałąź, skosił trawnik. Ben nie odstępował go na krok. Kuczał przy przeszklnych drzwiach ogrodowych i czekał na Johna, a potem chodził za nim jak mały psiak. Johnowi ani trochę to nie przeszkadzało. Był solidnie zbudowanym, dobrodusznym, misiowatym młodzieńcem; Bena traktował w bezceremonialny sposób, jakby chłopiec faktycznie był szczeniakiem wymagającym tresury. „Nie, teraz musisz tam usiąść i poczekać, aż skończę”. „Przytrzymaj mi ten sekator, o tak”. „Nie, idę do domu, możesz mnie odprowadzić do bramy”.

Kiedy John wychodził, Ben czasami uderzał w ryk.

Harriet poszła do kawiarni - znanej jako Kafejka Betty - gdzie, jak wiedziała, przesiadywał John. Zastała go w towarzystwie przyjaciół. Była to grupa może dziesięciu bezrobotnych, z którymi czasem siedziało parę dziewczyn. Niczego nie musiała wyjaśniać, bo wiedziała, że ludzie doskonale rozumieją - pod warunkiem, że nie są specjalistami, lekarzami.

Przysiadła się do młodych i powiedziała, że Ben pójdzie do szkoły nie wcześniej niż za dwa lata. Nie pasował do zwyczajnego przedszkola. Wymawiając słowo „pasował”, patrzyła Johnowi prosto w oczy, a on po prostu skinął głową. Harriet chciałaby, żeby ktoś zajmował się Benem w ciągu dnia. Dobrze zapłaci.

- Chce pani, żebym u was zamieszkał? - spytał John, któremu ta propozycja się nie uśmiechała.

- Decyzja należy do ciebie - odparła Harriet. - On cię lubi, John. Ufa ci.

John spojrział na kumpli: porozumieli się wzrokiem. W końcu skinął głową.

John przychodził codziennie około dziewiątej rano i Ben odjeżdżał z nim na motorze. Odjeżdżał radośnie, roześmiany, nie oglądając się na matkę, ojca, braci i siostry. Zgodnie z zawartym porozumieniem, Bena należało trzymać z dala od domu aż do kolacji, ale często wracał jeszcze później. Przyłączył się do grupy bezrobotnych, którzy wałęsali się po ulicach, przesiadywali w kawiarniach, co pewien czas wykonywali drobne prace, chodzili do kina, jeździli na motorach albo pożyczonymi samochodami.

Rodzina znowu stała się rodziną. Cóż, prawie.

Dawid ponownie zaczął sypiać w sypialni małżeńskiej. Między mężem a żoną rozwarła się przepaść. Wykopał ją, a teraz zachowywał Dawid, ponieważ Harriet tak bardzo go zraniła. Ona to rozumiała. Powiedziała mu, że zaczęła brać środki antykoncepcyjne. Dla obojga była to ponura chwila, bo dawniej wszystko, czym byli, wszystko, co stanowiło dla nich wartość, nie pozwalało Harriet stosować antykoncepcji. Oboje czuli, że ingerencja w procesy natury jest głęboko niewłaściwa! Na naturze - przypomnieli sobie, że kiedyś tak czuli - można było, pod tym czy innym względem, polegać.

Harriet zadzwoniła do Doroty i spytała, czy matka mogłaby przyjechać na tydzień, potem ubłagała Dawida, żeby wyjechał z nią gdzieś na wakacje. Odkąd Łukasz przyszedł na świat, nigdy nie byli tylko we dwoje. Wybrali cichy hotel na wsi, dużo spacerowali, odnosili się do siebie bardzo troskliwie. Obojgu było ciężko na sercu, ale wyglądało na to, że muszą z tym żyć.

Czasami, zwłaszcza w chwilach największego szczęścia, łzy mimowolnie napływały im do oczu. Jednak w nocy, leżąc w ramionach męża, Harriet wiedziała, że to już nie to, nie było jak dawniej.

- A gdybyśmy zrobili tak, jak zamierzaliśmy? To znaczy, gdybyśmy mieli więcej dzieci? - powiedziała.

Wyczuła, jak ciało Dawida sztywnieje, poczuła jego gniew.

- Czyli to wszystko w ogóle się nie wydarzyło? - zapytał w końcu, a Harriet wiedziała, że chciał usłyszeć jej głos: po prostu nie wierzył własnym uszom!

- Kolejny Ben się nie przytrafi, bo niby czemu?

- Nie chodzi o kolejnego Bena - odparł wreszcie Dawid, który z powodu gniewu starał się, by jego głos zabrzmiał beznamiętnie.

Harriet wiedziała, że to, czym Dawid mógł ją ugodzić, było dokładnie tym, co usiłowała ukryć sama przed sobą: fakt, że ratując Bena, zadała rodzinie śmiertelną ranę.

- Moglibyśmy mieć więcej dzieci - nalegała.

- A czwórka, którą mamy, się nie liczy?

- Może to by nas połączyło na nowo, sytuacja by się poprawiła...

Dawid milczał, a na tle tej ciszy Harriet usłyszała, jak fałszywie zabrzmiały jej słowa.

W końcu Dawid zapytał, tym samym beznamiętnym tonem:

- A co z Pawłem? - To właśnie Paweł doznał największego uszczerbku.

- Może jakoś dojdzie do siebie - powiedziała bezradnie.

- On nie dojdzie do siebie, Harriet. - W głosie Dawida wibrował tłumiony gniew.

Harriet odwróciła się i rozplakała.

Kiedy zbliżały się letnie wakacje, Harriet napisała do wszystkich ostrożne listy z wyjaśnieniem, że Bena prawie nigdy nie ma w domu. Robiąc to, czuła, że jest niewierna, że dopuszcza się zdrady: ale wobec kogo?

Niektórzy przyjechali. Molly i Fryderyk nie; nie wybaczyli Harriet, że sprowadziła Bena z powrotem - wiedziała, że nigdy jej nie wybaczą. Siostra Harriet Sara przyjechała z Amy i z Dorotą, która była teraz opoką Amy, chroniła ją przed światem. Bracia i siostry Amy pojechali jednak do kuzynów - dzieci Angeli, a dzieci Lovattów wiedziały, że z powodu Bena nie będą miały towarzystwa w wakacje. Debora wpadła na chwilę. Od ostatniego razu, kiedy ją widzieli, zdążyła wyjść za mąż i się rozwieść. Była wybuchową, elegancką, dowcipną i zdesperowaną dziewczyną, dobrą, choć impulsywną, niewprawną ciotką dla dzieci, które zasypywała

kosztownymi, niestosownymi prezentami. Odwiedził ich na krótko James. Powtórzył parę razy, że w ich domu panuje cudowna atmosfera, ale Harriet wiedziała, że mówi tak przez uprzejmość. Przyjechali też dalecy kuzyni, którzy byli już dorośli, i kolega Dawida.

A Ben? Pewnego dnia Harriet robiła zakupy w mieście i nagle usłyszała dobiegający z ulicy głośny warkot. Kiedy się odwróciła, zobaczyła pędzącego na motorze mężczyznę w kasku. Natychmiast poznała Johna. Za nim siedział karzełek - jej syn Ben. Miał szeroko otwarte usta. Na jego twarzy malował się zachwyty. Nigdy nie widziała chłopca w takim stanie. Czy był szczęśliwy?

Harriet wiedziała, że Ben jest maskotką młodych ludzi. Wyśmiewali się z niego. Mówili na chłopca „krasnołudek”, „karzełek”, „Obcy II”, „hobbit” i „gremlin”. „Hej, krasnalu, daj mi przejść”. „Hobbit, skocz do Jacka i kup mi papierosy”. Ale Ben był szczęśliwy. Rano siedział przy oknie i czekał, aż pojawi się John albo któryś z jego znajomych. Czasem młodzi ludzie dzwonili i odwoływali spotkanie. Bena ogarniała wtedy wściekłość, chodził po domu, tupiąc głośno i krzycząc.

To wszystko kosztowało dużo pieniędzy. John i jego koledzy wykorzystywali sytuację. Harriet dawała im pieniądze, które dostała od Jamesa. Dawid chwycił się dorywczych prac i się dokładał. Młodzi mężczyźni nie mieli skrupułów.

- Zabierzemy Bena nad morze, jeśli pani chce.
- Wspaniale.
- To będzie kosztowało dwadzieścia funtów. Benzyna jest droga.

Ryczące motocykle, na których siedzieli młodzi mężczyźni i kobiety, mknęły w kierunku wybrzeża. Ben jechał razem z nimi.

- To kosztowało więcej, niż myśleliśmy - oznajmiali po powrocie.
- Ile?
- Jeszcze dziesięć funtów.

- „Wspaniale, że Ben pojechał nad morze”, mówili krewni Dawida i Harriet, jakby to było normalne, że obcy ludzie zabierają dziecko na wycieczkę za pieniądze.

Ben czuł się bezpiecznie z Johnem i jego kolegami; chociaż szydzili z niego i byli wobec niego brutalni, świetnie się bawił. Akceptowali chłopca. Ben wracał po całym dniu do domu. Podchodził do stołu, przy którym siedzieli rodzice, bracia i siostry, o ponurych, przestraszonych twarzach.

- Chcę chleba - mówił. - Chcę biszkopty.

- Usiądź, Ben - prosili go Łukasz, Helena albo Janeczka. Byli cierpliwi wobec brata. Paweł nie potrafił traktować go w ten sposób, czym Harriet bardzo się przejmowała.

Ben wdrapywał się szybko na krzesło. Próbował ich naśladować. Wiedział, że nie powinien mówić z pełnymi ustami ani otwierać ich podczas jedzenia. Przestrzegał tych zasad. Gryzł kawałki jedzenia swoimi zwierzęcymi zębami i, dopiero kiedy przełknął, mówił:

- Ben chce zejść z krzesła. Ben chce spać. Przeniósł się z dzieciennego pokoju do pokoju obok sypialni rodziców (pokój dziecienny stał pusty). Nie zamykali go na noc. Dźwięk klucza przekręcanego w zamku sprawiał, że Ben zaczynał kopać i krzyczeć. Inne dzieci przed pójściem spać zamykały swoje drzwi na klucz od wewnątrz. Harriet nie mogła do nich zajrzeć przed pójściem do łóżka, żeby sprawdzić, czy niczego im nie trzeba, i spytać, jak się czują. Nie chciała prosić dzieci, żeby nie zamykały drzwi, ani robić z tego szumu i wzywać ślusarza, aby zainstalował specjalne zamki, które można by otwierać od zewnątrz. Kiedy Harriet myślała o dzieciach pozamykanych w pokojach, czuła się bardzo samotna. Czasem stawiała na korytarzu i prosiła szeptem, żeby syn albo córka wpuścili ją do pokoju. Drzwi się otwierały. Dzieci całowały matkę i przytulały się do niej, ale nie trwało to długo. Bały się Bena, który mógł w każdej chwili wejść... Pewnego razu chłopiec stanął w progu i przyglądał się scenie czułości, nic nie rozumiejąc.

Harriet nie zamykała na noc drzwi sypialni, chociaż miała na to ochotę. Dawid żartował, że któregoś dnia to zrobi. Budziła się czasem w środku nocy i widziała Bena, który stał w półmroku, patrząc na nich. Cienie drzew rosnących w ogrodzie tańczyły na suficie. Sypialnia była dziwnie wielka i pusta. Obok łóżka stało podobne do chochlika dziecko. Harriet czuła przez sen, że chłopiec jej się przygląda, i budziła się.

- Idź spać, Ben - mówiła łagodnym szeptem. Chciała ukryć przed nim swój strach. Zastanawiała się, o czym myślał, kiedy tak im się przyglądał. Czy chciał ich zranić? A może był nieszczęśliwy, ponieważ czuł się obco wśród domowników? Harriet bała się o tym myśleć. Czy Ben chciał się do niej przytulić, tak jak inne dzieci, ale nie potrafił? Kiedy obejmowała go, nie reagował.

Coraz rzadziej bywał w domu.

- Nasza rodzina funkcjonuje całkiem nieźle - mówiła Harriet, patrząc na Dawida z nadzieją. Chciała, żeby przyznał jej rację. Ale on tylko kiwał głową, nie patrząc na żonę.

Okres poprzedzający pójście Bena do szkoły był w miarę spokojny. Harriet myślała później o tych latach z tęsknotą.

Kiedy Ben skończył pięć lat, Łukasz i Helena oznajmili, że chcą być w szkole z internatem. Łukasz miał trzynaście lat, Helena jedenaście. Dawid i Harriet się sprzeciwili. Powiedzieli dzieciom, że nie mają pieniędzy na szkołę z internatem. Ale Łukasz i Helena wszystko wcześniej zaplanowali. Łukasz napisał do dziadka Jamesa, a Helena do babci Molly. Dziadkowie zgodzili się pokryć wydatki.

- Oni uważają, że tak będzie dla nas lepiej - powiedział Łukasz poważnym tonem. - Nie lubimy Bena. Nic nie możemy na to poradzić.

Zdarzyło się to niedługo po tym, jak Harriet zeszła na dół z Łukaszem, Heleną, Janeczką i Pawłem. Ben kucnął na stole z surowym kurczakiem w dłoniach. Lodówka była otwarta, na podłodze leżało jedzenie. Chłopiec miał jeden ze swych napadów. Mruczając z zadowolenia, rozrywał mięso na kawałki. Emanowała z niego siła barbarzyńcy. Po chwili spojrzął na matkę i rodzeństwo, a z jego ust wydobył się warkliwy pomruk.

- Niegrzeczny Ben - skarciła syna Harriet. Chłopiec wstał i zeskoczył ze stołu. Z kawałkiem mięsa w dłoniach, popatrzył matce w oczy.

- Biedny Ben chce jeść - jęknął.

Mówił o sobie „Biedny Ben”. Harriet zastanawiała się, kto go tak nazwał. Być może któryś z młodych mężczyzn z gangu powiedział tak w jego obecności i Ben poczuł, że to określenie do niego pasuje. Czy chłopiec litował się nad sobą? Kiedy Harriet o tym myślała, miała wrażenie, że patrzy przez małe okienko na duszę syna, i jej serce krwawiło z żalu.

Dzieci nie skomentowały tego wydarzenia. Usiadły do stołu i zaczęły jeść śniadanie, zerkając na siebie. Nie patrzyły na matkę ani na Bena.

Harriet wiedziała, że będzie musiała posłać Bena do szkoły. Przestała mu czytać, przestała się z nim bawić; niczego nie mogła go nauczyć. Ale wiedziała, że władze jej nie uwierzą. Wielu ludzi uważało, że Ben funkcjonuje jak normalny członek społeczeństwa, i tak w pewnym sensie było. Chłopiec znał fakty. „Zielone światło - przejsć. Czerwone - zatrzymać się”. „Pół talerza chipsów - pół ceny całego talerza chipsów”. Albo: „Zamknij drzwi, jest zimno”. Ben wyśpiewywał zdania, które usłyszał od Johna, i patrzył na Harriet, jakby czekał na jej aprobatę. Jedz łyżką, nie palcami”. „Uważaj na zakrętach”. Czasem Harriet słyszała, jak jej syn wypowiadał te słowa przed snem, myśląc o przyjemnościach nadchodzącego dnia.

Kiedy powiedziano mu, że musi pójść do szkoły, Ben zaczął protestować. Harriet wytłumaczyła mu, że nie ma innego wyjścia. Obiecała mu, że w weekendy będzie spotykać się z Johnem. Ben wpadł we wściekłość. Był zrozpaczony.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczał tak głośno, że ściany się trzęsły.

Sprowadzono Johna. Zjawił się z trzema kolegami z gangu. Weszli do kuchni. Harriet poprosiła go wcześniej, żeby porozmawiał z Benem.

- Słuchaj, kolego - powiedział, patrząc na chłopca. - Musisz iść do szkoły.

- Ty też tam będziesz? - spytał Ben. Podszedł do Johna i zadarł głowę, na jego twarzy pojawiła się nadzieja. Ufał Johnowi, ale się bał. Oczy chłopca zwięzły się w szparki.

- Nie. Ale ja też chodziłem do szkoły. - Czterech młodych mężczyzn roześmiało się głośno. Wszyscy chodzili kiedyś na wagary. Szkoła była dla nich nieistotna. - Chodziłem do szkoły - mówił dalej John. - Rowland też. Barry i Henry też.

- Jasne - potwierdzili inni, grając swoje role.

- Ja też chodziłam do szkoły - powiedziała Harriet. Ale chłopiec nie zwrócił na nią uwagi, zdanie matki się nie liczyło.

W końcu zdecydowano, że Harriet będzie prowadzić Bena rano do szkoły, a John będzie go odbierał. Chłopiec miał spędzać z nim każde popołudnie.

Robię to dla dobra rodziny, mówiła sobie Harriet. Dla dobra dzieci, mojego i Dawida... Ben wracał do domu coraz później.

Tymczasem rodzina - Harriet czuła to i widziała - zaczęła się rozpadać. Łukasz i Helena pojechali do szkół z internatem. W domu zostali Paweł i Janeczka. Chodzili do tej samej szkoły co Ben, ale byli w wyższych klasach i prawie go nie widywali. Janeczka była mądra, spokojna i równie samodzielna, jak Łukasz i Helena. Po szkole rzadko wracała do domu, zwykle szła do przyjaciół. Paweł wracał po lekcjach do domu. Był sam z matką; Harriet wiedziała, że dziecko tego pragnie i potrzebuje. Wymagający, trudny chłopiec, często marudził i niespodziewanie wybuchał płaczem. Co się stało ze słodkim, czarującym Pawełkiem?, zastanawiała się Harriet, kiedy jej syn, chudy sześciolatek, miał humory i płakał. Chłopiec potrafił całymi godzinami wpatrywać się w pustkę. Czasem w jego łagodnych błękitnych oczach pojawiał się strach albo zdumienie. Był zbyt chudy. Jadł bardzo mało. Harriet przyprowadzała go ze szkoły do domu, sadzała przy stole i prosiła, żeby coś zjadł. Czasem siadała obok niego, czytała mu i opowiadała różne historie. Na niczym nie potrafił się skupić. Poruszał się jak we śnie. Podchodził do Harriet,

żeby się przytulić, albo wdrapywał się jej na kolana jak malutkie dziecko. Łaknął kontaktu z matką, niełatwo było go zadowolić.

Harriet nie poświęciła mu dostatecznie dużo uwagi, kiedy był mały. Na tym właśnie polegał problem, i wszyscy o tym wiedzieli.

Kiedy na ulicy rozlegał się odgłos motoru i Ben wracał do domu, Paweł wybuchał płaczem, albo, zrozpaczony, walił głową o ścianę.

Ben już miesiąc chodził do szkoły. Wszystko układało się pomyślnie. Któregoś dnia Harriet spytała nauczycielkę syna, jak Ben sobie radzi. Ku swojemu zdumieniu usłyszała następującą odpowiedź:

- To dobry chłopak. Bardzo się stara.

Pod koniec pierwszego semestru dyrektorka szkoły, pani Graves, wezwała Harriet.

- Pani Lovatt, zastanawiam się, czy...

Dyrektorka była kompetentną kobietą, wiedziała o wszystkim, co się dzieje w szkole. Wiedziała, że Harriet jest odpowiedzialną matką Łukasza, Heleny, Janeczki i Pawła.

- To bardzo trudna sytuacja - zaczęła. - Ben się stara, ale nie nadąża za innymi dziećmi. Nie wiem, jak to określić...

Harriet siedziała na krześle i czekała na dalsze słowa pani Graves. Odkąd urodził się Ben, przeprowadziła wiele takich rozmów. Przywykła do tego, że ludzie wstydzili się powiedzieć, co naprawdę myślą na temat jej syna.

- Ben zawsze był dziwnym dzieckiem.

- Dziwne dziecko w rodzinie? Zauważyłam, że to się często zdarza - powiedziała uprzejmie dyrektorka. Harriet próbowała wyczytać z jej twarzy, co naprawdę myśli.

- Odbierają go ze szkoły młodzi ludzie. To dość nietypowe... - Pani Graves uśmiechnęła się.

- Ben jest nietypowym dzieckiem.

Dyrektorka skinęła głową, nie patrząc na Harriet, i zmarszczyła brwi. Miała taką minę, jakby próbowała odgonić od siebie nieprzyjemną myśl.

- Czy znała pani kiedyś dziecko podobne do Bena? - spytała Harriet.

Wiedziała, w jaki sposób dyrektorka zareaguje.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - spytała szybko pani Graves i, nie czekając na odpowiedź, dodała: - Ben jest nadpobudliwy, prawda? Oczywiście to mało precyzyjne

określenie... Ben ma bardzo dużo energii. Nauczycielka jest wzruszona, że chłopiec się stara, ale musi poświęcać mu więcej uwagi niż pozostałym dzieciom... Dziękuję, że pani przysłała.

Wychodząc z sali, Harriet czuła na sobie wzrok pani Graves. Wiedziała, że na twarzy kobiety malują się w owej chwili uczucia ukrywane podczas rozmowy - niepokój, może nawet przerażenie...

Pod koniec drugiego semestru zadzwonili do niej ze szkoły.

- Proszę natychmiast przyjechać. Ben zrobił krzywdę innemu dziecku.

Od samego początku Harriet bała się, że tak się stanie. Chłopiec wpadł w szal i zaatakował starszą dziewczynkę w ogródku szkolnym. Dziewczynka upadła na ziemię, jej kolana były podrapane do krwi. Ben pogryzł ją i złamał jej rękę.

- Rozmawiałam z nim - powiedziała pani Graves. - Nie okazał skruchy. Zachowuje się tak, jakby nie zdawał sobie sprawy, że zrobił coś złego. Tak nie powinno być, on ma przecież sześć lat.

Harriet zaprowadziła Bena do domu. Postanowiła, że Pawła odbierze później, chociaż czuła, że to nim powinna się zająć. Kiedy chłopiec dowiedział się, że Ben pobił starszą dziewczynkę, wpadł w histerię. Zaczął krzyczeć, że brat zabije i jego. Harriet wiedziała, że musi porozmawiać z Benem.

Chłopiec siedział na stole, machając nogami, i jadł kanapkę z dżemem. Spytał wcześniej, czy John po niego przyjedzie. Chciał go zobaczyć.

- Zrobiłeś krzywdę biednej Mary Jones - powiedziała Harriet. - Dlaczego tak się zachowałeś?

Ben miał taki wyraz twarzy, jakby nie słyszał. Odgryzał kawałki chleba i połykał łapczywie.

Harriet usiadła tuż obok niego, tak, że nie mógł jej dłużej ignorować.

- Pamiętasz, Ben, jak zawieźli cię do zakładu? Chłopiec zastygł. Po chwili wolno odwrócił głowę i spojrzał na matkę. Jego ręka drżała. Cały się trząsł. A więc pamięta! Harriet nigdy nie mówiła przy nim o zakładzie i miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała tego robić.

- Pamiętasz, Ben?

Jego oczy błysnęły dziko. Harriet była pewna, że chłopiec zeskoczy ze stołu i ucieknie. Ben zaczął rozglądać się po pokoju, zerknął na okno, a potem na schody, jakby spodziewał się,

że ktoś go zaatakuje.

- Posłuchaj, Ben. Jeśli jeszcze raz zrobisz komuś krzywdę, będziesz musiał tam wrócić.

Patrzyła mu w oczy i myślała: Nigdy, nigdy go tam nie poślę. Groziła mu, ponieważ nie miała innego wyjścia.

Ben trząsał się jak mokry, zmarznięty pies. Nieświadomie wykonywał ruchy, których nauczył się w zakładzie. Zasłonił ręką twarz i spojrzał na pokój przez rozsunięte palce. Opuścił rękę i odwrócił się gwałtownie. Po chwili przycisnął drugą rękę do ust. Obnażył zęby, jakby chciał warknąć, ale się powstrzymał. Potem podniósł głowę, otworzył usta, a Harriet wydało się, że słyszy przeciągłe wycie przerażonego zwierzęcia...

- Rozumiesz, Ben?

Chłopiec zeskoczył ze stołu i pobiegł na górę po schodach, zostawiając na podłodze wąską stróżkę moczu. Harriet usłyszała trzask drzwi. Po chwili z góry dobiegły okrzyki wściekłości i przerażenia.

Harriet zadzwoniła do Kafejki Betty i poprosiła Johna, żeby przyszedł. Zgodnie z obietnicą zjawiał się wkrótce.

Kiedy Harriet powiedziała, co się stało, John poszedł do pokoju Bena. Harriet nasłuchiwała w korytarzu.

- Jesteś bardzo silny, hobbicie. Na tym polega problem. Nie wolno krzywdzić innych ludzi.

- Jesteś zły na Bena? Zrobisz krzywdę Benowi?

- Nie jestem zły - powiedział John. - Jeśli będziesz krzywdzić ludzi, oni odpłacą ci tym samym.

- Czy Mary Jones zrobi mi krzywdę? Cisza. John był zbity z tropu.

- Zabierz mnie do kawiarni. Teraz. Zabierz mnie stąd. Harriet słyszała, jak John szuka czystych spodni Bena i prosi chłopca, żeby je nałożył. Zeszła do kuchni. Po chwili John pojawił się na dole z Benem, który trzymał go za rękę. Mężczyzna mrugnął do niej i podniósł do góry kciuk. Kiedy odjechali na motorze, Harriet poszła odebrać Pawła.

Później zadzwoniła do doktora Bretta i poprosiła, żeby umówił ją ze specjalistą.

- Niech pan nie przedstawia mnie temu lekarzowi jako histerycznej idiotki - prosiła.

Zabrała Bena do Londynu i zostawiła chłopca u pielęgniarki, w gabinecie doktor Gilly, która chciała najpierw porozmawiać z nim sama. Wydawało się to sensowne. Mam nadzieję, że

ta lekarka okaże się mądra, pomyślała Harriet, pijąc kawę w małej kawiarni. Ale o co mi właściwie chodzi? Na co czekam tym razem? Harriet miała nadzieję, że nareszcie ktoś użyje właściwych słów do opisanie problemu z Benem. Nie łudziła się, że lekarka dokona cudu, nie liczyła na zmianę. Chciała, żeby jakiś specjalista wydał opinię, na którą później będzie się mogła powołać.

Czy tym razem będzie tak jak zwykle? Harriet potrzebowała wsparcia, ale coś jej mówiło, że lekarka nie spełni jej oczekiwań. Ben był z pielęgniarką w małym pomieszczeniu obok poczekalni. Siedział odwrócony plecami do ściany i, jak czujne zwierzę, obserwował każdy ruch kobiety. Na widok matki podbiegł do niej i schował się za jej plecami.

- Nie ma się czego bać - powiedziała cierpko pielęgniarka.

Harriet poprosiła Bena, żeby usiadł i zaczekał; obiecała, że niedługo wróci. Chłopiec stanął za krzesłem i spojrzał nieufnie na pielęgniarkę.

Po chwili Harriet siedziała naprzeciwko inteligentnej lekarki. Doktor Brett na pewno powiedział jej, że nie potrafię poradzić sobie z piątym dzieckiem, pomyślała.

- Będę z panią szczerą - powiedziała doktor Gilly.

- Ben nie ma problemu. To pani ma problem. Nie potrafi go pani pokochać.

- O Boże! - zawołała Harriet. - Tylko nie to! - Była zdenerwowana, głos jej drżał. Patrzyła, jak doktor Gilly obserwuje jej reakcję. - Doktor Brett tak pani powiedział.

- Chyba pani temu nie zaprzeczy, pani Lovatt? Po pierwsze, to nie jest pani wina. Często się zdarza, że matka nie potrafi pokochać dziecka. Nie wiadomo, który los wygra na loterii. Tak samo jest z macierzyństwem - nie wiemy, jakie dziecko urodzimy. Na szczęście, a może niestety, nie możemy wybrać. Przede wszystkim nie powinna się pani obwiniać.

- Nie obwiniam się - powiedziała Harriet. - Pewnie pani mi nie uwierzy, ale to przypomina kiepski żart. Odkąd Ben się urodził, inni ludzie mnie obwiniają. Czuję się tak, jakbym popełniła zbrodnię. - W jej głosie brzmiała histeria, ale nie potrafiła się opanować; poczuła nagle gorzkość ostatnich lat. Doktor Gilly siedziała ze wzrokiem wbitym w biurko.

- Nie do wiary! Nikt nigdy mi nie powiedział: Jesteś taka dzielna! Masz czworo normalnych, inteligentnych, ładnych dzieci. Są takie dzięki tobie, Harriet!'. Czy to nie dziwne, że nikt nigdy tego nie powiedział? Ale kiedy urodził się Ben, wszyscy stwierdzili, że to ja jestem winna.

Doktor Gilly zamyśliła się.

- Wolałaby pani, żeby Ben był bardziej inteligentny, prawda? - powiedziała w końcu.

- O mój Boże! - zawołała Harriet. - To nie ma sensu! Kobiety przez chwilę patrzyły sobie w oczy. Harriet westchnęła i poczuła, że się uspokaja. Lekarka była na nią zła, ale nie chciała tego okazać.

- Czy pani uważa, że Ben jest całkiem normalnym dzieckiem? - spytała Harriet. - Pod każdym względem?

- Mieści się w granicach normy. Nauka sprawia mu kłopoty, ale takie dzieci zwykle doganiają później swoich rówieśników.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Harriet. - Mam do pani prośbę. Niech pani poprosi pielęgniarkę, żeby przyprowadziła Bena.

Doktor Gilly zastanowiła się przez chwilę, a potem pochyliła się nad telefonem.

Na korytarzu rozległ się głośny krzyk Bena: „Nie! Nie!”, potem usłyszały perswadujący głos pielęgniarki.

Drzwi otworzyły się. Pielęgniarka wepchnęła Bena do gabinetu i zamknęła drzwi. Chłopiec oparł się o nie plecami i spojrzał na lekarkę.

Stał zgarbiony na lekko ugiętych nogach, jakby zamierzał rzucić się do ucieczki: mały człowieczek z wielką głową o żółtych szorstkich włosach rosnących od podwójnego ciemienia aż do punktu poniżej grubego wąskiego czoła. Miał duży, zadarty nos, grube, mięsiste usta i oczy jak dwa matowe kamienie. Harriet pomyślała, że Ben nie wygląda na sześciolatka. Można go było wziąć za niskiego mężczyznę.

Harriet nie spuszczała wzroku z lekarki patrzącej na chłopca.

- W porządku, Ben - powiedziała doktor Gilly. - Poczekaj na korytarzu. Mama zaraz do ciebie przyjdzie.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca. Lekarka pochyliła się nad telefonem i powiedziała coś do pielęgniarki. Drzwi otworzyły się. Chłopiec zniknął w korytarzu, mrucząc wściekle.

- Co pani o nim myśli? - spytała Harriet.

Doktor Gilly nie odpowiedziała, czuła się urażona i liczyła minuty do końca wizyty.

- Czy on jest istotą ludzką? - spytała Harriet; wiedziała, że to nic nie da, ale chciała wypowiedzieć te słowa, usłyszeć je.

Doktor Gilly wyprostowała się, westchnęła ciężko i zakryła dłonią usta. Siedziała przez chwilę z zamkniętymi oczami. Była przystojną kobietą w średnim wieku. Miała całkowitą

kontrolę nad swoim życiem, ale teraz wyglądała na zagubioną.

Nie była w stanie zdobyć się na szczerość. Opuściła rękę i uśmiechnęła się.

- To przybysz z innej planety? - powiedziała żartobliwym tonem.

- Nie, ale przyjrzała mu się pani, prawda? Niektórzy twierdzą, że na naszej planecie mieszkały kiedyś istoty zupełnie inne niż my. Oczywiście nie można tego stwierdzić z całą pewnością. Ale może naszą planetę zamieszkiwały kiedyś karły albo krasnoludy? I dlatego opowiadamy o nich bajki.

- Uważa pani, że Ben jest opóźniony w rozwoju? - spytała doktor Gilly ponurym głosem. Spodziewała się, że Harriet poruszy ten temat.

- Dla mnie to oczywiste - powiedziała Harriet. Lekarka zerknęła na swoje wypięłgnowane dłonie i westchnęła. Potem spojrzała Harriet w oczy.

- Czego pani ode mnie oczekuje? - spytała.

- Chcę, żeby ktoś to nazwał. Do tej pory nikt tego nie zrobił.

- Czy pani nie rozumie, że to nie leży w zasięgu moich kompetencji? Mam napisać list do zoo? „Zamknijcie to dziecko w klatce”? Mam go oddać naukowcom?

- O Boże! - jęknęła Harriet. - Skądże znowu. Milczenie.

- Dziękuję pani. - Harriet podniosła się z krzesła. Wizyta dobiegła końca. - Czy mogłaby mi pani zapisać silny środek uspokajający? Ben ma czasem ataki wściekłości i trudno sobie wtedy z nim poradzić.

Doktor Gilly wypisała receptę. Harriet schowała ją, podziękowała lekarce i pożegnała się. W drzwiach odwróciła się. Doktor Gilly nie ukrywała dłużej uczuć: na jej twarzy malowało się przerażenie. Bała się Bena, ponieważ uosabiał to, co nienormalne i nienazwane. Bała się Harriet, która go urodziła.

Chłopiec stał sam w rogu małego pokoju ze wzrokiem wbitym w drzwi gabinetu i dygotał. Dokoła pełno było ludzi w białych fartuchach i płaszczach. W przychodni pachniało chemikaliami. Harriet uświadomiła sobie, że to miejsce kojarzy się Benowi z zakładem. Jeśli będziesz niegrzeczny...

Chłopiec był przybity, trzymał się blisko matki. Zachowywał się jak przestraszony pies.

Każdego ranka podawała mu środek uspokajający, który jednak wyraźnie nie działał. Harriet miała nadzieję, że Ben będzie spokojny w szkole, po południu zaś wywrzeszczy się, jeżdżąc z Johnem na motorze.

Pierwszy rok pobytu Bena w szkole dobiegł końca. Jego rodzina mogła udawać, że chłopiec jest po prostu „trudnym dzieckiem”. Nie był w stanie niczego się nauczyć, ale nie różnił się w tym od wielu dzieci, które chodziły do szkoły, ponieważ musiały.

Łukasz napisał, że chce spędzić święta Bożego Narodzenia u dziadków w południowej Hiszpanii. Helena pojechała do babci Molly, do Oksfordu.

Dorota przyjechała do nich na święta; jedynie na trzy dni. Wyjeżdżając, zabrała Janeczkę, która uwielbiała swoją mongoloidalną kuzynkę Amy.

Ben w tym czasie prawie nie rozstawał się z Johnem. Harriet zajmowała się Pawłem, który miał ferie świąteczne.

Dawid też bywał w domu, ale pracował coraz więcej. Paweł sprawiał więcej kłopotu niż Ben, ale był normalnym „zaburzonym” dzieckiem, nie obcym.

Paweł spędzał całe godziny przed telewizorem. Była to jego ucieczka od rzeczywistości. Oglądał film za filmem i pochłaniał ogromne ilości jedzenia - jakby miał w środku usta, które błagały: „Nakarmcie mnie!”, mimo to nie tył. Wiecznie czegoś chciał, trudno go było zadowolić. Harriet przytulała go, ale bez skutku. Wojna i zamieszki; zabójstwa i porwania samolotów; mordercy, złodzieje, porywacze... Zaczęły się barbarzyńskie lata osiemdziesiąte. Paweł leżał przed telewizorem albo chodził po pokoju i jadł - to znaczy otwierał usta, kiedy go karmiono.

Rytm życia rodzinnego ustalił się na nowo. Na lata.

Łukasz spędzał wakacje u dziadka Jamesa, z którym „miał taki dobry kontakt”. Chłopiec bardzo lubił żonę dziadka - Jessicę. Mówił, że jest zabawna. Jego ciotka Debora też była zabawna: w rodzinie krążyły żarty na temat jej nieudanych małżeństw. Łukasz mieszkał z bogatymi krewnymi, z ludźmi sukcesu. Czasem James, kiedy wybierał się do Harriet i Dawida, zabierał wnuka ze sobą. James miał dobre serce i martwił się, że w rodzinie źle się dzieje; wiedział, że Harriet i Dawid tęsknią za najstarszym synem. Odwiedzali go w szkole podczas Dni Sportu. Czasem Łukasz przyjeżdżał do domu na przerwę semestralną.

Helena była szczęśliwa u Molly. Mieszkała w pokoju, który należał kiedyś do jej ojca. Była ulubienicą starego Fryderyka. Ona też przyjeżdżała czasem do rodziców na półsemestr.

Janeczka chciała zamieszkać z babcią, ciotką Sarą, trzema zdrowymi kuzynami i biedną Amy. Poprosiła Dorotę, żeby porozmawiała o tym z Harriet i Dawidem. Janeczka postawiła na swoim. Dorota zabierała ją czasem do rodziców. Odbyła poważną rozmowę z Janeczką, która starała się być wobec nich miła i nie krytykować Bena.

Paweł został w domu: Ben pojawiał się tam coraz rzadziej.

- Co pocznemy z Pawłem? - pytał Dawid.

- Jak to?

- On potrzebuje pomocy. Powinien porozmawiać z psychiatrą...

- Co to da?

- Nie jest w stanie niczego się nauczyć, trzeba się nim wciąż zajmować. Sprawia więcej kłopotu niż Ben! Benowi nie można pomóc. Będzie taki zawsze. Ale Paweł...

- Kto za to zapłaci? - Ja.

Dawid zaczął wykładać na politechnice. Rzadko bywał w domu. Czasem przychodził wieczorem, ale tak zmęczony, że szedł od razu spać.

Pawła posłano, „żeby z kimś porozmawiał”, jak to się mówi.

Chłopiec chodził do psychiatry prawie każdego popołudnia po szkole. Wywierało to na niego dobry wpływ. Czterdziestoletni psychiatra miał rodzinę i miły dom. Paweł zostawał tam często na kolację, przychodził też bawić się z dziećmi lekarza nawet w te dni, kiedy nie byli umówieni.

Czasem Harriet spędzała cały dzień w samotności w wielkim domu. Paweł wracał o dziewiętnastej i siadał przed telewizorem. Ben też oglądał telewizję, w inny sposób. Patrzył z fascynacją na zmieniające się obrazy, ale potrafił skupić się na nich przez minutę, najwyżej dwie.

Bracia się nienawidzili.

Któregoś razu Harriet weszła do kuchni i zobaczyła Pawła, który stał na palcach wciśnięty w kąt. Ben wyciągał ręce i próbował schwycić go za gardło. Niski, silny Ben i wysoki, chudy Paweł. Harriet była pewna, że Ben chce tylko nastraszyć brata, ale Paweł dostał histerii. Ben uśmiechał się triumfalnie.

- Ben, przestań - powiedziała Harriet takim tonem, jakby mówiła do psa. - Przestań natychmiast.

Chłopiec odwrócił się gwałtownie, spojrzał na nią i opuścił ręce. Pamiętał jej pogroźki. Harriet wiedziała, że ma nad nim władzę.

Obnażył zęby i warknął wściekle.

Paweł zaczął krzyżeć. Rzucił się w kierunku schodów i potykając się, wbiegł na górę. Chciał być jak najdalej od brata - potwora.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz... - zagroziła Harriet. Ben podszedł do stołu i usiadł

zamyślony. - Jeśli zrobisz to jeszcze raz... - Podniósł głowę i spojrzał na nią, jakby się nad czymś zastanawiał. O czym myślał? Te zimne, nieludzkie oczy... Co widział? Ludzie byli przekonani, że Ben postrzegał świat tak jak oni. Ale może jego zmysły rejestrowały fakty w zupełnie inny sposób? Jak postrzegał siebie samego?

- Biedny Ben - mówił czasami.

Harriet nie powiedziała Dawidowi o tym wydarzeniu. Nie chciała go niepokoić. Jak by zareagował, gdyby mu powiedziała: „Ben próbował zabić Pawła”? Sytuacja już dawno ich przerosła. Ale Harriet nie wierzyła, że Ben chciał zabić brata: pokazał tylko, na co go stać.

Zapewniła Pawła, że Ben nie chciał zrobić mu krzywdy. Miała nadzieję, że chłopiec uwierzył.

Gdy Benowi zostały jeszcze dwa lata do ukończenia szkoły, w której nie był w stanie niczego się nauczyć, John oznajmił, że wyjeżdża. Dostał się na szkolenie w Manchesterze, dokąd miał pojechać z trzema kolegami.

Zabrał chłopca do Kafejki Betty i powiedział, że wyjeżdża, ale do Bena to nie dotarło. Wkrótce potem, w obecności chłopca, porozmawiał o swoim wyjeździe z Harriet.

- Dlaczego nie mogę z tobą pojechać? - spytał Ben.

- To niemożliwe, stary. Ale będę cię czasem odwiedzać. Zobaczymy się jeszcze.

- Dlaczego nie mogę z tobą pojechać? - nalegał Ben. Będę się uczyć w szkole. Nie tutaj. W innej szkole, daleko stąd.

Ben zgarbił się i zacisnął pięści. Zaczął zgrzytać zębami. Jego oczy błyszczały dziko.

- Ben - powiedziała Harriet tonem, który chłopiec dobrze znał. - Przestań.

- Spokojnie, hobbicie - powiedział John. Zaczynał się niecierpliwić, ale starał się być miły. - Nic na to nie poradzę. Nie mogę wiecznie mieszkać z wami.

- Czy Barry, Rowland i Henry pojedą z tobą?

- Tak, jedziemy we czterech.

Ben wybiegł do ogrodu i zaczął kopać pień drzewa, krzycząc z wściekłości.

- Dobrze, że się na mnie nie rzucił - powiedział John.

- Albo na mnie - westchnęła Harriet.

- Przykro mi. Muszę wyjechać.

- Nie mam pojęcia, jak byśmy sobie poradzili, gdyby nie ty - powiedziała Harriet.

John skinął głową, wiedział, że to prawda. Odszedł i więcej się nie pojawił. Od powrotu z

zakładu Ben spędzał z nim czas codziennie.

Chłopiec nie potrafił się pogodzić z wyjazdem Johna. Z początku nie wierzył, że to prawda. Kiedy Harriet przychodziła po niego, albo po Pawła, Ben stał przy bramie i obserwował ulicę, którą John przyjeżdżał zwykle do szkoły. Szedł niechętnie do samochodu i, jeśli Paweł nie był akurat u psychiatry, siadał na tylnym siedzeniu jak najdalej od brata. Wyglądał przez okno, w nadziei że zobaczy przyjaciół. Czasem Harriet orientowała się, że Bena nie ma w domu. Znajdowała go w Kafejce Betty. Siedział przy stoliku ze wzrokiem wbitym w drzwi, czekając na przyjaciół. Któregoś ranka Ben spotkał na ulicy jednego z młodych mężczyzn z gangu Johna. Chłopiec krzyknął radośnie i podbiegł do mężczyzny, ale ten bąknął tylko: „Cześć, Dumbo, się masz, krasnal...” i odszedł. Ben patrzył za nim z niedowierzaniem. Otworzył szeroko usta. Czuł się tak, jakby ktoś go uderzył w twarz. Minęło sporo czasu, zanim dotarło do niego, że John nie wróci. Po szkole wracał z Harriet i Pawłem do domu, ale nie wytrzymał tam długo. Wybiegał na ulicę i wracał do centrum miasta. Harriet nie próbowała go zatrzymać. Wiedziała, że chłopiec wróci. Nie miał innego domu. Harriet cieszyła się, że może być sama z Pawłem.

Któregoś dnia przed domem rozległy się ciężkie kroki Bena. Wbiegł do środka i schował się pod stołem. W drzwiach stanęła policjantka.

- Gdzie jest to dziecko? - spytała. - Nic mu nie jest?

- Pod stołem - powiedziała Harriet.

- Pod... ale dlaczego? Nie chciałam go przestraszyć. Myślałam, że się zgubił. Ile on ma lat?

- Więcej, niż by się mogło wydawać. Chodź, Ben. Nie bój się.

Ale chłopiec nie ruszył się z miejsca: siedział pod stołem na czworakach i patrzył na lśniące czarne buty policjantki. Bał się ludzi w mundurach. Pamiętał, jak obcy mężczyźni wsadzili go do samochodu i zawieźli do zakładu.

- No, ładnie - powiedziała policjantka. - Można by pomyśleć, że chciałam go skrzywdzić. Nie powinien wychodzić sam na ulicę. Ktoś mógłby go porwać.

- Wątpię - powiedziała Harriet wesoło, udając matkę, która ze wszystkim sobie radzi. - To raczej on mógłby kogoś porwać.

- A więc to tak?

Policjantka roześmiała się i odeszła.

Dawid i Harriet leżeli obok siebie w łóżu małżeńskim. Światła były zgaszone. Dwa

pokoje dalej spał Ben, przynajmniej taką mieli nadzieję. Paweł zamknął się w pokoju na końcu korytarza. Było późno. Harriet wiedziała, że Dawid za chwilę zaśnie. Leżeli w pewnej odległości od siebie, ale nie było między nimi napięcia. Dawid czuł się zbyt zmęczony, żeby się złościć. Poza tym zdawał sobie sprawę, że negatywne emocje mu szkodzą. Harriet wiedziała, o czym myśli jej mąż. Często potrafiła przewidzieć, co powie.

Czasem się kochali, ale Harriet czuła - i wiedziała, że Dawid też to czuje - że to duchy młodej Harriet i młodego Dawida splatają się i całują.

Harriet czuła się tak, jakby pod wpływem stresów jakaś część jej osobowości umarła, jakby straciła coś, co ją chroniło. Dawid bez przerwy pracował. Oddalił się od rodziny. Dzięki pracowitości awansował, a w końcu dostał lepiej płatną pracę w innej firmie. Żył pracą, mimo że kiedyś pogardzał ludźmi żyjącymi w ten sposób. James nie musiał już dawać im pieniędzy; utrzymywał tylko Łukasza. Szczerść i otwartość Dawida, płynąca niegdyś z jego uporu i wiary w siebie, przerodziła się w nową pewność siebie. Harriet mówiła sobie, że gdyby poznała męża teraz, wydałby się jej gruboskórny. Ale Dawid nie był gruboskórny. Po prostu próbował przetrwać.

Nazajutrz, w sobotę, Dawid wybierał się do szkoły Łukasza na mecz krykieta. Harriet chciała obejrzeć przedstawienie szkolne, w którym grała Helena. Dorota miała przyjechać rano i zostać na weekend. Janeczka nie chciała ich odwiedzić - obiecała koleżance ze szkoły, że pójdzie do niej na przyjęcie.

Dawid zabrał ze sobą Pawła.

Dorota przyjechała zająć się Benem, którego nie widziała od roku.

Harriet nie była zaskoczona, kiedy Dawid powiedział:

- Ben wygląda dziecinnie, ale nie jest już taki mały. Czy Dorota zdaje sobie z tego sprawę?

- Powinniśmy ją ostrzec?

- Wystarczy, że pobędzie z nim pięć minut i wszystko zrozumie.

Zapadła cisza. Harriet wiedziała, że Dawid zasypia. Ocknął się nagle i powiedział:

- Harriet, czy przyszło ci na myśl, że za kilka lat Ben będzie nastolatkiem? Stanie się istotą seksualną.

- Tak, ale jego zegar biologiczny jest inny niż nasz.

- Przypuszczam, że tacy jak on przechodzą okres dojrzewania.

- Nie wiem. Może popęd seksualny będzie u niego mniejszy. Ktoś powiedział, że mamy obsesję na punkcie seksu... kto to był? Tak, Bernard Shaw.

- Na myśl, że Ben będzie istotą seksualną, zaczynam się bać.

- Od dłuższego czasu nikogo nie skrzywdził. Kiedy weekend dobiegał końca, Dorota powiedziała:

- Ciekawe, czy Ben zadaje sobie pytanie, dlaczego tak bardzo się od nas różni.

- Któż to może wiedzieć? Nigdy nie wiedziałam, co on sobie myśli.

- Może wierzy, że gdzieś na świecie żyją ludzie podobni do niego.

- To całkiem prawdopodobne.

- Oby tylko nie było żeńskich przedstawicielek tego gatunku!

- Kiedy patrzę na Bena, zaczynam myśleć o ludziach pierwotnych, którzy zamieszkiwali w przeszłości naszą planetę. Oni muszą gdzieś w nas być.

- Gotowi w każdej chwili wyskoczyć! Może po prostu nie zauważamy, kiedy wyskakują - powiedziała Dorota.

- Bo nie chcemy zauważać - powiedziała Harriet.

- Ja z całą pewnością nie chcę - stwierdziła Dorota. - Po tym, co przeszliśmy z Benem... Czy ty i Dawid zdajecie sobie sprawę, że wasz syn nie jest już dzieckiem? Traktujemy go jak małego chłopca, ale...

Dwa lata poprzedzające rozpoczęcie nauki w gimnazjum stanowiły dla Bena trudny okres. Był samotny, ale czy cierpiał z tego powodu? Harriet była bardzo samotna i cierpiała z tego powodu...

Ben, podobnie jak Paweł, od razu po przyjściu ze szkoły siadał przed telewizorem. Czasem oglądał filmy od szesnastej do dwudziestej pierwszej albo dwudziestej drugiej. Nie widział różnicy między programami telewizyjnymi. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego niektóre filmy nadają się dla dzieci, a inne dla dorosłych.

- Co się działo w tym filmie, Ben?

- Działo... - mówił chłopiec niskim, niepewnym głosem i patrzył na matkę, jakby próbował odgadnąć, czego oczekiwała.

- O czym był ten film, który przed chwilą obejrzałeś?

- Duże samochody - odpowiadał Ben. - Motor. Dziewczyna płakała. Samochód gonił mężczyznę.

Raz, chcąc sprawdzić, czy Ben mógłby się uczyć od brata, Harriet spytała Pawła:

- O czym był ten film?

- To historia o rabusiach, którzy napadli na bank. To chyba oczywiste. - Paweł spojrział z pogardą na nierozgarniętego Bena, który słuchał, a jego oczy patrzyły to na twarz matki, to znów na twarz brata. - Postanowili zrobić podkop. Chcieli się w ten sposób dostać do banku. Ale kiedy znaleźli się w piwnicy, zaskoczyła ich policja. Niektórym udało się uciec, inni trafili do więzienia. Policjanci zastrzelili dwóch mężczyzn.

Ben przysłuchiwał się z uwagą.

- Pamiętasz, o czym był ten film, Ben?

- O rabusiach, którzy napadli na bank - powiedział chłopiec. Spróbował opowiedzieć film, używając tych samych słów co brat.

- On mnie naśladuje - powiedział Paweł.

Oczy Bena zaiskrzyły się. Harriet wiedziała, że chłopiec jest bliski ataku furii. Jeśli zrobię komuś krzywdę, znowu zabiorą mnie do tamtego miejsca". Harriet potrafiła odgadnąć, co myśli i czuje Paweł, ale Ben pozostawał dla niej zagadką.

Czy Paweł mógłby uczyć Bena, bez wiedzy żadnego z chłopców?

Po przeczytaniu synom opowiadania prosiła Pawła, żeby powtórzył jego treść. Używając tych samych słów co brat, Ben streszczał opowiadanie, ale po chwili wszystko zapominał.

Harriet grała z Pawłem w węże i drabiny albo w chińczyka. Ben siedział obok i przyglądał się. Kiedy Paweł był u psychiatry, Harriet próbowała namówić Bena do gry, ale nie mógł zrozumieć reguł.

Niektóre filmy oglądał wiele razy. Wypożyczyli magnetowid. Ben uwielbiał musicale: *The Sound of Music*, *West Side Story*, *Oklahoma!* i *Cats*.

„Ona będzie śpiewać”, mówił, kiedy Harriet pytała, co się dzieje w filmie. Albo: „Będą tańczyć, a potem ona zaśpiewa”. Albo: „Zranią tę dziewczynę. Ona uciekła. A teraz jest przyjęcie”.

Ale nie potrafił opowiedzieć całego filmu.

- Zanuć tę melodię, Ben. Ja i Paweł chcemy ją usłyszeć.

Ben nie umiał śpiewać. Z jego ust dobywał się gardłowy pomruk.

Któregoś razu Paweł poprosił Bena, żeby zanucił melodię z filmu, i zaczął się z niego wyśmiewać. Harriet była przy tym. Ben spojrział na brata z wściekłością. Harriet skarciła Pawła.

- Co ja takiego zrobiłem? - zawołał jej syn. - Ben jest najważniejszy. Ben, Ben, Ben... - Paweł zamachnął się, jakby chciał uderzyć brata. Oczy Bena rozbłysły. Był gotów rzucić się na Pawła.

- Ben - powiedziała Harriet ostrzegawczym tonem. Chciała uczynić z niego normalnego chłopca, ale wiedziała, że w takich chwilach jeszcze bardziej zamykał się w sobie, w swoim wnętrzu, gdzie... ale co? - pamiętał?... śnił? - o swoim gatunku.

Pewnego dnia Harriet była w domu sama z Benem. Nagle zorientowała się, że chłopca nie ma w pobliżu. Zaczęła go szukać. Zajrzała do sypialni na pierwszym piętrze, potem do pokoju Bena i Pawła. Trzy pozostałe świeciły pustkami. Stały tam łóżka ze świeżo powleczonymi poduszkami i wypranymi kołdrami. Pokoje na drugim piętrze były czyste i puste. Trzecie piętro: ile czasu minęło, odkąd dzieci bawiły się na górze, a ich radosny śmiech rozbrzmiewał echem w ogrodzie? Harriet nigdzie nie mogła znaleźć Bena. Wspięła się po cichu na strych. Drzwi były otwarte. Chłopiec stał w miejscu, gdzie wpadające przez okno światło tworzyło na podłodze postrzępiony, jasny prostokąt. Podniósł głowę i patrzył na światło słoneczne. Harriet nie potrafiła odgadnąć, co czuł... Nagle zauważył ją i zniknął w ciemności. Harriet miała wrażenie, że zobaczyła jego prawdziwą twarz, którą na co dzień ukrywał. Została sama na wielkim, ponurym strychu. Dokoła panowała absolutna cisza. Ben przykucnął gdzieś w kącie. Wiedziała, że jej nie skrzywdzi, a mimo to poczuła paraliżujący strach.

- Ben - powiedziała drżącym głosem. Miała wrażenie, że na tym ciemnym strychu jej syn powrócił do odległej przeszłości, przeniósł się w czasy, kiedy nie było jeszcze istot ludzkich. - Ben... - powtórzyła.

Żadnej odpowiedzi. Cisza. Pasek cienia przeciął brudny prostokąt światła: to ptak przeleciał z jednego drzewa na drugie.

Harriet zeszła na dół, do kuchni. Samotna i zmarznięta, siadła na krześle i wypila ciepłą herbatę.

Zanim Ben rozpoczął naukę w lokalnym gimnazjum (tylko jedna szkoła zgodziła się go przyjąć), nadeszły letnie wakacje, które nie różniły się prawie niczym od poprzednich. Krewni pisali do siebie listy i dzwonili. „Oni są tacy biedni, pojedźmy tam chociaż na tydzień...”. Uważali, że to Dawid zasługuje na współczucie - Harriet o tym wiedziała. Rzadko mówili: „biedna Harriet”, częściej: „nieodpowiedzialna, samolubna, szalona Harriet...”.

A wszystko dlatego, że nie pozwoliłam zamordować Bena, myślała Harriet. Ale nie była

w stanie im tego powiedzieć. Postąpiła zgodnie z nakazami moralnymi ludzi ze swojego środowiska. Nie mogła zostawić Bena w zakładzie. Uratowała go przed śmiercią, ale zniszczyła rodzinę. Zniszczyła własne życie... życie Dawida... Łukasza, Heleny, Janeczki... i Pawła. Paweł był najbardziej pokrzywdzony.

Myśli Harriet powracały uporczywie.

Dawid powtarzał, żeby nie jechała do zakładu... Ale jak będąc sobą mogła nie pojechać? Harriet była pewna, że gdyby nie sprowadziła Bena do domu, zrobiłby to Dawid.

Kozioł ofiarny. Była kozłem ofiarnym - Harriet, burzycielka rodziny.

Istniała jednak i głębsza warstwa myśli czy odczuć.

- Zostaliśmy ukarani - powiedziała Dawidowi.

- Za co? - spytał zirytowany. Nie lubił, kiedy Harriet mówiła takim tonem.

- Za to, że zakładaliśmy, iż będziemy szczęśliwi. Szczęśliwi dlatego, że to myśmy tak postanowili.

- Bzdura. - Dawid był zły. Harriet wyprowadziła go z równowagi. - To przypadek. Ben mógł urodzić się w każdej rodzinie. To kwestia genów.

- Nie sądzę. - W jej głosie zabrzmiał upór. - Uważaliśmy, że nam się to należy! Inni ludzie mogą się męczyć, ale my postanowiliśmy być szczęśliwi. A teraz musimy zapłacić.

- Przestań, Harriet! Niedługo zaczniesz mówić o pogromach, paleniu czarownic na stosie i wściekłości bogów!

- krzyknął Dawid.

- I kozłach ofiarnych - powiedziała Harriet. - Zapomniałeś o kozłach ofiarnych.

- Mściwi bogowie sprzed tysięcy lat - mówił dalej Dawid. Harriet wiedziała, że jest poruszony do głębi.

- Bogowie, którzy karzą ludzi za nieposłuszeństwo...

- Dlaczego uważaliśmy, że mamy prawo decydować?

- Dlaczego? Wzięliśmy odpowiedzialność za to, w co wierzyliśmy. Mieliśmy pecha, nic więcej. Równie dobrze mogło nam się udać. Mogliśmy zrealizować nasze cele, mieć ośmioro dzieci i dom. Mogliśmy być szczęśliwi... w granicach możliwości.

- Ale kto za to płacił? James. I Dorota - w inny sposób... Nie, po prostu stwierdzam fakty. Nie krytykuję cię, Dawidzie.

Ale Dawid już od dawna nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia.

- James i Jessica mają tyle pieniędzy, że mogliby nam dać trzy razy więcej - powiedział. - Cieszyli się, że mogą nam pomóc. Dorota narzekała, że jest zmęczona, ale odkąd przestała z nami mieszkać, opiekuje się Amy.

- Chcieliśmy być lepsi niż inni. Wydawało nam się, że jesteśmy lepsi.

- To nieprawda. Po prostu chcieliśmy być sobą.

- Tak, rzeczywiście, to wszystko - powiedziała Harriet cynicznie.

- Właśnie tego chcieliśmy. Harriet, przestań... Nie zamierzam w tym uczestniczyć. Nie żyjemy w średniowieczu.

- Czyżby?

Odwiedzili ich Molly i Fryderyk, przywieźli Helenę. Harriet wiedziała, że nigdy jej nie wybaczą, ale przyjechali ze względu na wnuczkę. Helena wyrosła na niezależną, atrakcyjną szesnastolatkę; odnosiła sukcesy w nauce. Wydawała się chłodna i zdystansowana.

James przyjechał z Łukaszem, przystojnym, spokojnym i godnym zaufania osiemnastolatkiem. Łukasz chciał budować łodzie, tak jak dziadek. Był obserwatorem, odziedziczył to po ojcu.

Dorota przywiozła czternastoletnią Janeczkę. Dziewczyna nie uczyła się dobrze, ale Dorota jej broniła.

- Na szkole świat się nie kończy - mówiła. - Ja zawałam wszystkie egzaminy.

A przecież jesteś taka inteligentna, dodawała w myśli Harriet, uśmiechając się ironicznie. Matka nie kipiała już energią jak dawniej. Schudła i wolała siedzieć na krześle, niż się ruszać. Jedenastoletni Paweł miał zmienne nastroje. Od czasu do czasu wpadał w histerię, wymagał nieustannej uwagi. Mówił w kółko o swojej nowej szkole, której nienawidził. Oznajmił, że chciałby chodzić do szkoły z internatem, jak bracia i siostra. Dawid spojrzał na Jamesa i oświadczył z dumą, że zapłaci za szkołę syna.

- Najwyższy czas, żebyście sprzedali ten dom - zauważyła Molly. Tak naprawdę miała ochotę skrytykować Harriet i powiedzieć: „Nie możesz wymagać od mojego syna, żeby harował jak niewolnik”.

Dawid zaczął bronić żony.

- Nie chcemy jeszcze sprzedawać domu - powiedział.

- Liczycie na jakąś zmianę? - spytała Molly chłodno. - Ben się nie zmieni.

W głębi ducha Dawid był zdania, że trzeba sprzedać dom.

- Chcesz, żebyśmy zamieszkali z Benem w jakimś małym domku? - mówiła Harriet.

- Niekoniecznie małym, ale czy musi być wielkości hotelu?

Dawid wiedział, że Harriet wciąż marzy o powrocie dawnych czasów.

Wakacje dobiegły końca. Wszyscy się bardzo starali. Wszyscy poza Molly. Harriet i Dawida ogarnął smutek. Siedzieli przy stole, słuchając opowieści o ludziach, których nie znali. Łukasz i Helena odwiedzili swoich przyjaciół ze szkoły. Harriet wiedziała, że wstydziliby się ich zaprosić do siebie.

We wrześniu Ben skończył jedenaście lat i rozpoczął naukę w gimnazjum. Był rok 1986.

Harriet spodziewała się telefonu od dyrektora. Miała pewność, że już w pierwszym semestrze zdarzy się coś nieprzyjemnego. Dyrektorka byłej szkoły Bena posłała opinię na jego temat do gimnazjum. „Ben Lovatt nie jest dobrym uczniem, ale...” Ale co? „Bardzo się stara...” Czy rzeczywiście? Ben nie potrafił niczego się nauczyć. Nie opanował sztuki pisania i czytania. Potrafił jedynie napisać swoje imię. Próbował za to naśladować innych.

Nie było telefonu ani listu. Każdego popołudnia Harriet sprawdzała, czy Ben jest podrapany albo posiniaczony. Chłopiec z łatwością przystosował się do brutalnego świata gimnazjum.

- Lubisz tę szkołę, Ben?

- Tak.

- Bardziej niż poprzednią?

- Tak.

Jak wiadomo, w każdej szkole znajduje się grupa tępych uczniów, którzy przechodzą z klasy do klasy, czekając na szczęśliwy dzień, kiedy będą mogli zakończyć naukę. Uczniowie ci chodzą zwykle na wagary, ku zadowoleniu nauczycieli. Ben natychmiast stał się jednym z nich.

Kilka tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego przyprowadził do domu wysokiego chłopaka o rozczochranych ciemnych włosach. Nowy kolega Bena był wesoły i łatwo nawiązywał kontakty z innymi. „Gdyby John miał brata, właśnie tak by wyglądał”, pomyślała Harriet, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Ben był wpatrzony w nowego kolegę. Derek skończył piętnaście lat i miał niedługo opuścić szkołę. Dlaczego zakolegował się z kilka lat młodszym Benem? Harriet patrzyła, jak chłopcy wydobywają jedzenie z lodówki, robią herbatę, a potem siadają przed telewizorem i rozmawiają, od czasu do czasu zerkając na ekran. Ben wydawał się starszy niż Derek. Chłopcy nie zwracali uwagi na Harriet. Ben traktował przyjaciela

z ufnością, jak kiedyś Johna. Wkrótce chłopiec przyprowadził do domu nowych kolegów: Billy'ego, Elvisa i Vica. Znajomi przychodzili po szkole do Bena i wyjadali jedzenie z lodówki.

Dlaczego ci starsi chłopcy polubili Bena?

Harriet stawiała czasem na schodach i przyglądała się chłopakom. Różnili się od siebie. Jeden był wysoki, drugi chudy, trzeci gruby, czwarty miał ciemne włosy, piąty jasne, szósty - rude. Wśród nich siedział Ben, barczysty i silny, z czupryną żółtych włosów, które nie dawały się rozczesać. Jego czujne obce oczy błyszczały dziwnie. Wygląda, jakby był w ich wieku, myślała Harriet. Ben, znacznie niższy od kolegów, najwyraźniej dominował w grupie. Kiedy siadali razem przy dużym stole, rozmawiając głośno, patrzyli na Bena w taki sposób, jakby czekali na jego aprobatę. Chłopiec odzywał się rzadko. Mówił: „tak”, „nie”, „weź to”, „weź tamto”. „Daj mi to”, rzucał, kiedy chciał, żeby któryś z chłopców podał mu talerz z kanapkami albo butelkę coca - coli. Ben bacznie obserwował kolegów. Czy o tym wiedzieli, czy nie, uważał się za szefa gangu.

Jego znajomi byli niezgrabni, pryszczaci i niepewni siebie. Ben zachowywał się, jakby był starszy od nich. Z początku Harriet myślała, że ci biedni chłopcy, których połączyła niechęć do nauki, zakolegowali się z Benem, bo był jeszcze bardziej niezdarny i nieprzystosowany niż oni. Ale myliła się. „Gang Bena Lovatta” cieszył się poważaniem w szkole. Nie tylko wagarowicze chcieli się przyłączyć do bandy, marzyli też o tym dobrzy uczniowie.

Harriet patrzyła na Bena i jego wielbicieli i próbowała sobie wyobrazić syna wśród ludzi z jego gatunku, siedzącego obok ogniska przy wejściu do jaskini. A może podobni do niego ludzie budowali szałas w lesie? Nie, była pewna, że mieszkali głęboko pod ziemią, w ciemnych jaskiniach. Prawdopodobnie dziwne oczy Bena przystosowane były do innego rodzaju światła.

Harriet często siadała w kuchni sama, kiedy chłopcy oglądali telewizję w dużym pokoju. Zdarzało się, że całe popołudnie i wieczór spędzali na oglądaniu filmów. Robili sobie herbatę i wyjadali wszystko z lodówki. Potem wychodzili do sklepu po ciastka, chipsy albo pizzę. Było im wszystko jedno, co oglądają. Lubili popołudniowe seriale, ale nie mieli nic przeciwko programom dla dzieci. Najbardziej podniecały ich krwawe filmy nadawane w nocy. Patrzyli z zachwytem na sceny, w których bohaterowie walczyli ze sobą, strzelali, torturowali się i zabijali. Chłopcy zachowywali się tak, jakby występowali w tych filmach. Nieświadomie gestykulowali i uśmiechali się triumfalnie. Jęczeli i wzdychali. „No, dalej! Zrób to!”, wołali podnieceni. „Posiekaj go na kawałki! Zabij go!”. Pomrukiwali z zadowoleniem, kiedy któryś z bohaterów padał, zastrzelony i zaczynał broczyć krwią, albo poddawano go torturom.

W tamtym okresie w lokalnych gazetach ukazywały się wiadomości o napadach i włamaniach. Czasem Ben i inni członkowie gangu znikali na dwa, trzy dni.

- Gdzie byłeś, Ben?

- Byłem z przyjaciółmi - odpowiadał chłopiec obojętnie.

- Gdzie?

- W okolicy.

W parku, kawiarni, albo w kinie. Jeśli udawało im się pożyczyć (ukraść?) motory, jechali nad morze.

Harriet zastanawiała się, czy ma zadzwonić do dyrektora szkoły, ale co by to dało? Na jego miejscu, myślała, cieszyłabym się, że ich nie ma.

A policja? Co by się stało, gdyby Ben wpadł w ręce policji?

Ben i jego koledzy mieli zawsze mnóstwo pieniędzy. Kilkakrotnie, niezadowoleni z zawartości lodówki, kupili mnóstwo smakołyków w sklepie i jedli przez cały wieczór. Derek częstował Harriet (Ben nigdy!).

- Masz ochotę, kochanie?

Brała jedzenie, ale nie siadała obok chłopaków. Wiedziała, że chcą być sami.

W gazetach pisano o gwałtach...

Harriet patrzyła na twarze chłopców i zastanawiała się, czy tak wyglądają młodociani przestępcy, o których pisano w gazetach. Byli nastolatkami, ale wyglądali na więcej niż piętnaście czy szesnaście lat. Derek miał głupkowaty wyraz twarzy. Chichotał cicho na najbardziej okrutnych scenach filmu. Elvis, szczupły, inteligentny blondyn, był dla niej bardzo miły, ale Harriet wiedziała, że to tylko pozory. Miał zimne oczy, podobnie jak Ben. Billy był ocieźrzały i tępy. Dyszał agresją. Kiedy oglądał brutalną scenę, zrywał się z krzesła i podbiegał do ekranu. Uspokajał się dopiero, kiedy koledzy zaczęli na niego krzyczeć. Harriet bała się Billy'ego. Bała się ich wszystkich. Mówiła sobie, że chłopcy nie są dostatecznie inteligentni, żeby być przestępcami. Może z wyjątkiem Elvisa... Jeśli kradli (albo popełniali gorsze przestępstwa), to kto planował? Kto był przywódcą? Ben? Kiedy chłopiec chodził do podstawówki, ludzie mówili: „To dziecko nawet nie wie, jakie jest silne”. W jaki sposób Ben się kontrolował? Harriet znajdowała na jego ciele zadrapania i siniaki, ale nie było to nic poważnego. Jego koledzy też je mieli.

Pewnego ranka zeszła na dół i zobaczyła Bena i Dereka przy stole. Jedli śniadanie. Nic

nie powiedziała, chociaż czuła, że na zbyt wiele im pozwala. Wkrótce zastała przy śniadaniu sześciu chłopaków. Poprzedniej nocy słyszała ich głosy na korytarzu. Weszli po cichu na górę i zajęli puste łóżka.

Harriet stanęła obok stołu i spojrzała chłopcom w oczy. Nie zamierzała puścić im tego płazem.

- Nie możecie tu spać, kiedy tylko wam się podoba - powiedziała. Chłopcy jedli z pochylonymi głowami.

- Mówię poważnie - powtórzyła.

- Przepraszamy, naprawdę przepraszamy - powiedział Derek i roześmiał się złośliwie. - Myśleliśmy, że pani nie ma nic przeciwko temu.

- Owszem, mam.

- To wielki dom - powiedział prostak Billy, którego bała się najbardziej. Nie patrzył na Harriet. Wsadził sobie jedzenie do ust i zaczął mlaskać.

- To nie jest wasz dom.

- Pewnego dnia zabierzemy go pani - powiedział Elvis i roześmiał się głośno.

- Możliwe, że tak się stanie.

Chłopcy często przechwalali się w jej obecności. „Kiedy wybuchnie rewolucja, zabijemy wszystkich bogatych sukinsynów”, mówili. „Bogaci mają prawa, a biedni nie”. Mówili to w taki sposób, jakby należeli do jakiejś społecznej organizacji.

Dawid wracał do domu bardzo późno. Czasem nocował u kolegi z pracy. Któregoś wieczoru wrócił wcześniej i zastał w dużym pokoju dziesięciu nastolatków, którzy oglądali telewizję, pijąc piwo. Na podłodze leżały pudełka z chińskim jedzeniem i tacki z rybą i frytkami.

- Posprzątajcie to - powiedział.

Chłopcy wstali powoli i zaczęli sprzątać. Nie śmieli mu się sprzeciwić. Dawid był mężczyzną - panem domu. Ben pomagał kolegom.

- Wystarczy - powiedział Dawid. - A teraz idźcie do domu. Wszyscy.

Ben poszedł razem z nimi. Harriet i Dawid nie próbowali go zatrzymać.

Nie byliśmy sami od wielu tygodni, pomyślała Harriet. Dawid chciał porozmawiać z żoną, ale bał się, że dojdzie między nimi do kłótni.

- Nie widzisz, jak to się skończy? - spytał i nałożył sobie na talerz resztki jedzenia, które znalazł w lodówce.

- Chodzi ci o to, że koledzy Bena będą tu przychodzić coraz częściej?
- Właśnie. Czy nie rozumiesz, że powinniśmy sprzedać ten dom?
- Tak, powinniśmy - powiedziała Harriet cicho, ale Dawid opacznie zrozumiał jej ton.
- Na miłość boską, nie czekajmy dłużej. To szaleństwo...
- W tej chwili potrafię myśleć tylko o tym, że dzieci cieszyłyby się, gdybyśmy zachowali

dom.

- My nie mamy dzieci, Harriet. Albo raczej, ja nie mam dzieci. Ty masz jedno.

Harriet pomyślała, że jej mąż nie mówiłby w ten sposób, gdyby częściej przebywał w domu.

- Zapomniałeś o jednej rzeczy.
- O czym?
- Ben odejdzie. Jego koledzy wyjadą stąd, a on razem z nimi.

Dawid zamyślił się, żując powoli jedzenie. Był bardzo zmęczony. Miał pięćdziesiąt lat, ale wyglądał jak sześćdziesięciolatek. Posiwiął, lekko się garbił. Miał wiecznie zatroskany wyraz twarzy i smutne oczy. Patrzył na Harriet tak, jakby spodziewał się, że zdarzy się coś złego.

- Dlaczego tak uważasz? Oni przychodzą tu, kiedy chcą, i robią, co im się podoba. Biorą jedzenie z lodówki.

- To im się znudzi. Wyjadą do Londynu, albo innego dużego miasta. W zeszłym tygodniu nie było ich pięć dni.

- Myślisz, że Ben pojedzie z nimi?
- Tak.
- Nie ściągniesz go z powrotem?

Harriet nie odpowiedziała. Czuła się urażona i chciała, żeby Dawid o tym wiedział.

- Przepraszam. Jestem zmęczony. Plotę trzy po trzy.
- Kiedy Ben wyjedzie, moglibyśmy pojechać na wakacje, tylko we dwoje.
- Moglibyśmy. - W jego głosie zabrzmiała nadzieja.

Położyli się do łóżka. Przez jakiś czas rozmawiali o tym, że odwiedzą Janeczkę. Zamierzali też pojechać do Pawła z okazji Dnia Otwartego w szkole.

Byli sami w wielkim pokoju, gdzie urodziły się wszystkie dzieci oprócz Bena. Na wyższych piętrach i strychu panowała cisza. Na dole był pusty salon i kuchnia. Zamknęli drzwi wejściowe na klucz. Jeśli Ben zdecyduje się wrócić na noc, będzie musiał zadzwonić.

- Kiedy Ben stąd wyjedzie, będziemy mogli kupić dom w jakimś ładnym miejscu - powiedziała Harriet. - Może dzieci zechcą nas odwiedzać, kiedy nie będzie Bena.

Dawid nie odpowiedział. Spał.

Wkrótce potem Ben wyjechał na kilka dni z kolegami. Harriet widziała ich w telewizji. W północnym Londynie wybuchły zamieszki. Pokazano młodych ludzi, którzy rzucali cegłami, kawałkami żelaza i kamieniami. Ben i jego koledzy stali z boku, śmiejąc się szyderczo i pokrzykując zachęcająco.

Wrócili następnego dnia, ale nie usiedli przed telewizorem. Kipieli energią. Ben nie nocował w domu. W porannych wiadomościach podano, że bandyci napadli na mały sklep, w którym znajdowało się stoisko pocztowe. Sprzedawcę związano i zakneblowano. Kobieta, która pracowała przy stoisku pocztowym, została pobita, znaleziono ją nieprzytomną na podłodze.

Tamtego wieczoru, o dziewiętnastej, Ben pojawił się w domu z kolegami. W przeciwieństwie do nich zachowywał się spokojnie. Kiedy Harriet weszła do pokoju, chłopcy zerknęli na siebie porozumiewawczo, dając jej do zrozumienia, że mają jakąś tajemnicę. Wyciągali z portfeli banknoty, gładzili i chowali z powrotem. Gdyby była policjantką, ci podnieceni młodzieńcy o zaczerwienionych twarzach wzbudziłiby w niej najgorsze podejrzenia.

Ben nie był podekscytowany jak pozostali. „Może nie brał w tym udziału”, pomyślała Harriet, ale po chwili przypomniała sobie, że widziała syna w telewizji.

- Pokazywali was w wiadomościach - powiedziała.

- Byliście w Whitestone Estates.

- Pewnie, że tam byliśmy - pochwalił się Billy.

- Tak, to my - zawołał Derek i podniósł do góry kciuk. Elvis uśmiechał się ironicznie. Tego wieczoru Ben przyprowadził do domu nowych kolegów. Wszyscy wyglądali na zadowolonych.

Kilka dni później Harriet powiedziała:

- Chcemy sprzedać dom. Nie zrobimy tego natychmiast, ale za jakiś czas na pewno go sprzedamy.

Patrzyła uważnie na syna. Chłopiec odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy, ale nic nie powiedział.

- A więc jednak - odezwał się Derek przymilnym głosem.

Czekała, aż Ben podejmie ten temat, ale tego nie zrobił. Czy był tak bardzo związany z

gangiem, że przestał uważać dom za swój?

Kiedy zostali sami, Harriet powiedziała:

- Ben, pewnego dnia możesz mnie tu nie zastać. Podam ci adres, pod którym zawsze będziesz mógł mnie znaleźć.

- Poczula, że Dawid przygląda się jej z ironicznym uśmiechem. Wiem, że on zrobiłby to samo na moim miejscu, pomyślała. Tacy po prostu jesteśmy i nic na to nie poradzimy.

Ben zabrał kartkę, na której napisała: „Harriet Lovatt, Molly i Fryderyk Burke”. Poniżej widniał ich adres w Oksfordzie. Któregoś dnia Harriet znalazła kartkę walającą się po podłodze w pokoju Bena i nie próbowała rozmawiać z nim więcej na ten temat.

Minęła wiosna, nadeszło lato. Ben i jego koledzy pojawiali się coraz rzadziej. Czasem znikali na kilka dni. Derek jeździł teraz na motorze.

Ilekcio Harriet czytała o włamaniu albo gwałcie, myślała o gangu Bena. Jestem niesprawiedliwa, mówiła sobie. Nie można ich winić za wszystko! Marzyła o tym, żeby Ben na dobre wyjechał z kolegami. Chciała zacząć nowe życie i sprzedać dom, w którym przeżyła tyle nieszczęśliwych chwil.

Ale Ben i jego znajomi wracali. Siadali w czterech albo w pięciu przed telewizorem w dużym pokoju, nie wyjaśniając, gdzie się podziewali. Czasem przychodziło dziesięciu albo jedenastu. Nie otwierali lodówki, było w niej teraz mało jedzenia. Przynosili wielkie torby pełne smakołyków z różnych krajów. Jedli pizzę, zapiekanki, chińskie i hinduskie potrawy, piły z sałatką, taco, tortillę, samosas, chili con carne, ciasta, paszteciki i kanapki. Typowi Anglicy, myślała Harriet. Jedzą to, co lubią ich rodzice. Chłopcy pochłaniali ogromne ilości jedzenia. Rzucali na podłogę odpadki i nie sprząтали po sobie.

Sprzątała Harriet. Pocieszała się, że niedługo wszystko się zmieni.

Siadała przy dużym stole, a tymczasem chłopcy oglądali filmy w pokoju obok. Odgłosy telewizora mieszały się z ich okrzykami. Były to głosy wyalienowanych, bezmyślnych, wrogich istot.

Rozmiary stołu działały na Harriet kojąco. Niegdyś należał do rzeźnika. Kiedy go kupili, drewno było szorstkie i chropowate. Błat został na woskowany. Od tamtego czasu dotykały go tysiące rąk, palców, rękawów, łokci i policzków dzieci, które zasypiały na kolanach rodziców. Niemowlęta uczyły się na nim chodzić, podczas gdy cała rodzina stała z boku, klaszcząc. W ciągu dwudziestu lat powierzchnia dębowego blatu stała się tak gładka, że ślizgały się na niej

palce. Przypominała skórę, na której delikatne zarysowania układały się we wzory podobne do linii papilarnych. Tu i ówdzie powierzchnia blatu była zniszczona. W miejscu, gdzie Dorota postawiła kiedyś gorący garnek, widniało brązowe półkole. Obok było czarne kółko, ale Harriet nie mogła sobie przypomnieć, skąd się wzięło. Patrząc na blat pod odpowiednim kątem, widziało się niewielkie wgłębienia i wklęsnięcia - ślady po podstawkach pod gorące naczynia.

Kiedy Harriet pochylała się nisko nad stołem, widziała swoje odbicie. Nie lubiła na siebie patrzeć. Miała czterdzieści pięć lat, ale, podobnie jak Dawid, wyglądała staro. Nie miało to związku z tym, że zaczęła siwieć, a skóra na jej twarzy poszarzała. Harriet czuła, że część jej osobowości umarła, że utraciła osłonę.

Siadała prosto, żeby nie widzieć swojego odbicia, i myślała o tym, że stół, przy którym gromadzili się goście, stanowił kiedyś centrum życia rodzinnego. Przypominała sobie sceny sprzed dwudziestu, piętnastu, dwunastu i dziesięciu lat. Najpierw siadywała przy stole sama z Dawidem. Czasami przyjeżdżali jego rodzice, Dorota, jej siostry... Potem urodziły się dzieci... i nowe dzieci... Dwadzieścia, nawet trzydzieści osób pochylało się nad lśniąca powierzchnią stołu, do którego dostawiano z obu stron inne stoły i deski... Widziała w wyobraźni ten gigantyczny blat, zawsze uśmiechnięte twarze ludzi. W tej wizji idealnego świata nie było miejsca na krytykę i nieporządek. Niemowlęta... dzieci... Przypomniała sobie, jak w pokoju rozbrzmiewały dziecięce głosy i śmiech. Potem powierzchnia blatu ciemniała i pojawiał się Ben, niszczyciel, istota z innego świata. Harriet odwracała ostrożnie głowę. Bała się spojrzeć synowi w oczy. Siedział na krześle, z boku, i obserwował swoich kolegów. Czy jego oczy były zimne? Tak jej się zawsze wydawało. Co widział? Czy zastanawiał się nad czymś? Na pewno rejestrował w jakiś sposób to, co się działo. W porównaniu z nieokrzesanymi, niepewnymi siebie nastolatkami Ben wydawał się dojrzały. Miał ukształtowaną osobowość. Harriet patrzyła na niego i odnosiła wrażenie, że cofa się o wiele tysięcy lat. Czy w epoce lodowcowej, kiedy ryby zamarały w głębokich rzekach, ludzie w rodzaju Bena kryli się w jaskiniach pod ziemią? Czy wychodzili czasem na powierzchnię, aby zastawić w śniegu sidła na niedźwiedzia, ptaka, a nawet człowieka (przodka Harriet)? Czy gwałcili kobiety? Może w ten sposób dawali początek nowym rasom, dziś już dawno wymarłym, może zaszczepili swoje nasienie w ludzkiej matrycy, tak aby pojawić się ponownie, tu i teraz, na przykład pod postacią Bena?... (Być może niedługo przyjdzie na świat dziecko posiadające cechy Bena, myślała Harriet).

Czy Ben zdawał sobie sprawę, że Harriet mu się przygląda? Czasem podnosił głowę i

patrzył jej w oczy. Wpatrywała się w syna błagalnie. Chciała go lepiej zrozumieć. Był przecież dzieckiem, któremu dała życie, które nosiła w brzuchu przez osiem miesięcy, chociaż prawie ją to zabiło. Ale Ben nie był w stanie odpowiedzieć na żadne z jej pytań. Powoli, obojętnie odwracał głowę i zerkał na kolegów.

Co widział?

Czy pamiętał, że to ona, jego matka, (ale czy miało to jakieś znaczenie?), zabrała go z zakładu i przywiozła z powrotem do domu? Czy pamiętał, jak znalazła go, na wpół żywego w kaftanie bezpieczeństwa? Czy wiedział, że to z jego powodu dom opustoszał i że wszyscy po kolei odeszli, zostawiając ją samą?

Błędne koło: Gdybym pozwoliła Benowi umrzeć, byłibyśmy szczęśliwi. Inni też byliby szczęśliwi. Ale nie mogłam na to pozwolić, więc...

Co się stanie z Benem? Wiedział już o istnieniu na wpół opuszczonych budynków, jaskiń, kryjówek i nor dużych miast, w których mieszkali ludzie niemogący znaleźć miejsca w zwykłych domach. Musiał wiedzieć, bo gdzież by przebywał w ciągu tych dni i tygodni poza domem? Wiedziała, że jeśli Ben ze znajomymi będą uczestniczyć w zamieszkach i bić się na ulicy, prędzej czy później wpadną w ręce policji. Przecież wszyscy zwracali uwagę na Bena... A może tylko tak mi się wydaje?, myślała Harriet.

Przecież wszyscy wmawiali jej, że Ben jest normalny... Kiedy zobaczyła go w telewizji, chłopiec stał w tłumie. Miał na sobie kurtkę z postawionym kołnierzem i szalik. Wyglądał jak młodszy brat Dereka, jak zwyczajny uczeń. Czy ubrał się tak, żeby nie wzbudzać podejrzeń? Czy to znaczy, że zdawał sobie sprawę ze swojego wyglądu? Jak postrzegał sam siebie?

Czy ludzie zawsze mieli udawać, że nie widzą, jaki Ben jest naprawdę?

Była pewna, że ktoś w końcu zwróci uwagę na jej syna, ale nie będzie to nauczyciel, lekarz, policjant ani pracownik socjalny. Przypuśćmy, że pewnego dnia, myślała Harriet, jakiś niezwykle antropolog zobaczy Bena stojącego wśród kolegów na ulicy albo w sądzie i powie prawdę... Co wtedy? Czy zaczną robić na nim eksperymenty? Może potną go na kawałki, albo zbadają jego oczy, grube kości i odkryją, dlaczego nie umie mówić poprawnie...

Harriet wiedziała, że to raczej mało prawdopodobne, ale na samą myśl ogarniało ją przerażenie. Koledzy Bena z gangu na pewno będą dalej kraść i, prędzej czy później, wpadną w ręce policji. Ben też. Harriet wyobraziła sobie, jak syn, otoczony przez policjantów, krzyczy i tupie. Na pewno daliby mu środki uspokajające. Potem wpakowaliby chłopca w kaftan

bezpieczeństwa i zamieniłby się w żalną, półżywą istotę.

A może chłopiec nie da się złapać? Czy jest na tyle inteligentny? Jego znajomi, zbyt impulsywni, nie grzeszyli inteligencją.

Harriet siedziała sama w kuchni, wsłuchana w dźwięki telewizora i głosy dobiegające z dużego pokoju. Czasem patrzyła na syna, ale po chwili odwracała wzrok. Zastanawiała się, kiedy Ben i jego koledzy wyjadą na dobre. Wiedziała, że pewnego dnia będzie siedzieć w kuchni, pochylona nad lśniącym blatem, i czekać na nich, na próżno.

Przypuszczała, że wyjadą z kraju i zwiążą się ze światem przestępczym jakiegoś obcego miasta. Może któregoś wieczoru w nowym domu, w którym Harriet zamieszka (sama) z Dawidem, oglądając wiadomości, nagle zobaczy Bena w Berlinie, Madrycie, Los Angeles albo Buenos Aires. Chłopiec będzie stał z boku i patrzył w kamerę, albo mrużąc oczy, będzie wypatrywał w tłumie kogoś podobnego do siebie.